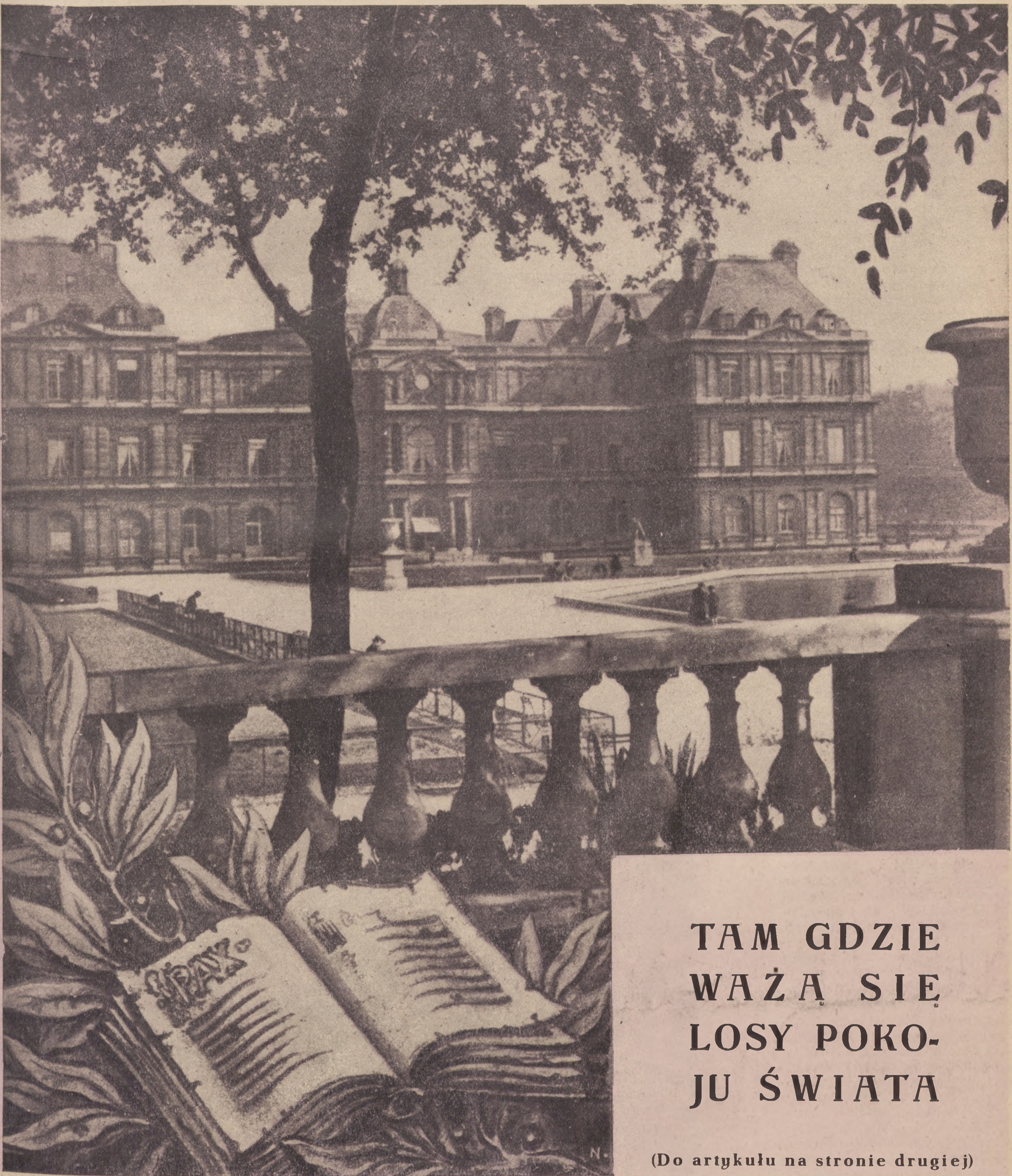
Nr 5
11. VIII. 1946 r.

TYDZIEŃ

Cena 8 zł

ILUSTROWANE PISMO TYGODNIOWE



TAM GDZIE WAŻĄ SIĘ LOSY POKOJU ŚWIATA

(Do artykułu na stronie drugiej)

DZISIEJSZY NUMER ZAWIERA: Artykuł prof. dr. Emila St. Rappaporta ● Felieton Jerzego Wyszomirskiego ● Wspomnienia z Powstania Warszawskiego kpt. Ognistego ● Wiersz Jana Brzechwy ● Korespondencję z Paryża ● Dział gospodarczy; Ostatnie wydarzenia tygodnia ● Wiadomości sportowe ● Humor i t. p.

W DOSTOJNYCH SALONACH PAŁACU LUKSEMBURSKIEGO

Należę do szczęśliwych obco - krajowych paryżan, którzy część życia —od poakademickiej młodości do delegackiej starości—przepracowali na „lewym brzegu“ Sekwany, w pobliżu Panteonu i Luksemburga. Oba te lewobrzeżne gmachy—narówni z pałacem Mazariniego (Akademia) — to nie tylko duma 5 i 6 dzielnicy Paryża, lecz całej Francji. Panteon, swą wysoką kopułą królujący nad słynną „szkołą prawa“, to miejsce dostojnych szczątków wielkich ludzi Francji, od początków Lutecji, opromienione legendą o Św. Genowefie i „myślą“ o Francji w silnej rzeźbie Rodina przed wejściem. Ale „Myśliciel“ na swym cokole patrzy, poprzez otwór ulicy Soufflot pełnej księgarń prawniczych nie tylko na zamykający „dzielnicę łacińską“ ruchliwy Bulwar Św. Michała, lecz i na złocące się w oddali w słońcu godzin przedpołudniowych kraty Ogrodu Luksemburskiego. Ten ogród, pełen piastunek, wózków i dzieci, staruszków — emerytów, wygrzewających się w słońcu, i gruchających na ławkach parek miłosnych, otacza na dużej przestrzeni stary, typowo francuski, pałac Marii Medycyjskiej, którego zmienne losy kojarzą się z losami Francji, z blaskiem i cieniami jej przeobrażającego się ustroju i ustawodawstwa. Czy to nie symbol i przepowiednia zarazem dla rozpoczynającej obecnie w tym wiekowym gmachu swe obrady Konferencji Pokojowej 21 państw zwycięskich?

Szkoła prawa w pobliskim sąsiedztwie, dzieci — przyszłość Narodu, otaczające swą radością życia ów poważny, wielki „Pałac Senatu“ i — Konferencja Pokojowa, która narodom — sojusznikom „Niemiec hitlerowskich“, zwyciężonym w walce o panowanie prawa nad siłą, ma zakreślić ramy ich przyszłego pokojowego współżycia z łaknącym wreszcie Ładu i Sprawiedliwości światem powojennym...

* * *

Niezwykła to „Konferencja Pokojowa“ i dziwna jest ta zgoła przypadkowa liczba „21“, która jej osobowe ramy zakreśla. Tam, na ławie oskarżonych w Międzynarodowym Trybunale Karnym Norymbergi, 21 przywódców spisku hitlerowskiego oczekuje surowego, lecz sprawiedliwego wyroku za zbrodnie rozpalenia pożaru światowej ruiny i ludożerstwa, tu — w salach dawnego senatu francuskiego — pięć państw — satelitów III Rzeszy Niemieckiej (Italia, Finlandia, Węgry, Rumunia i Bułgaria) oczekiwać będzie również wyroku, jak mogą i mają ułożyć swe nowe stosunki międzynarodowe z 21 — osobowym zespołem, stanowiącym organizację wielkich, średnich i małych państw „Narodów Zjednoczonych“.

Nie jest to więc żaden paryski „Kongres Pokoju“ na wzór i podobieństwo tych dawnych: Westfalskiego, Wiedeńskiego, Wersalskiego... Jak i sam „Pokój XX stulecia“ po drugiej wojnie światowej nie ma już, a raczej nie powinien już mieć nic wspólnego z **Treuga Dei ac hominum**, które ograniczały w wiekach poprzednich długie lata wojny od krótkich przerw pokojowych.

Kongres Westfalski. Francja Richelieu‘go zwycięża w połowie XVII stulecia I .Rzeszę Niemiecką. Na lat półtorasta tworzy nowy ład „oświeconego despotyzmu“ w „uzachodnionej“ Europie Ludwików, — aż do Wielkiej Rewolucji Francuskiej, aż do realizacji praw człowieka i obywatela, podówczas kształtujących nowy świat Postępu — indywidualnego — w budowie nowoczesnego państwa i prawa.

A potym — epopeja Napoleońska, jej kilkonastoletni świt, potęga i upadek, zakończony pokojem Wiedeńskim. I znów — całe to stulecie ma być zasadniczo tak, jak to sobie upatrzyły przebiegłość austriackiego Metternicha, zachłanność utuczonego na lekkomyślności Polski przedrozbiorowej pruskiego embriona przyszłej II Rzeszy i — chwiejność owego Hamleta dynastii Romanowów, który odegrał w ówczesnej Europie inną rolę, niż mógł a może nawet sam pragnął. Były to Kongresy zasadniczo europejskie. Regulowały interesy i stosunki międzynarodowe naszej półkuli świata. I Kongres Wersalski, pomimo pozorów wpływu Wilsona i Ameryki, nie był inny. Miał stworzyć nowy ład — indywidualny i społeczny— w Europie XX stulecia, wyhodował zaś—w przepaściach egoizmu wyspiarskiego Wielkiej Brytanii, izolacjonizmu Ameryki Północnej i zbyt małej przezorności Francji — gada przyszłego hitleryzmu i krótkotrwałej, lecz jakże krwawej potęgi III Rzeszy Niemieckiej.



Kongres Wiedeński

Owe traktaty pokojowe czterech kolejnych stuleci regulowały stosunki międzynarodowe w nowożytnej Europie w ten sposób, że oddzielały, a właściwie oddzielić tylko pragnęły, wojnę zaczepną i jej wzbronione umowami sposoby działania i skutki od wojny poniekąd legalnej, prowadzonej w przewidzianych umowami formach i ramach. Starały się one oddzielić wojnę — zbrodnię od wojny niezbrodni, czyli rozgraniczyć prawnie to, co było wielką ułudą dziś już „zagasłego świata“ klasycznego prawa międzynarodowego, zrodzonego w świtach panowania teoryj klasyfikacyjnych wielkiego holenderskiego prawnika - internacjonalisty Hugona Grotiusa.

Dziś — po przelaniu morza krwi w II wojnie światowej i po upadku wampira germańskiego wiemy, że takiego rozgraniczenia wojny — zbrodni i wojny — prawa nie ma i być nie może, że jest i musi być zwalczana integralnie przez cały świat kultury i cywilizacji współczesnej jedna tylko wojna-zbrodnia, jako zamach na podstawowe prawa „istnienia pod słońcem“ i jednostek i narodów, wielkich i małych, białych i kolorowych na obu półkulach świata.

W atmosferze takich nowych ide! i prądów w prawie międzynarodowym połowy XX stulecia zbiera się bardzo swoista, zasadniczo odmienna od swych „Kongresowych“ poprzedniczek lipcowa Konferencja Paryska 1946 roku.

* * *

Konferencja Paryska ma przed sobą zadanie wdzięczne, lecz niezwykle trudne. Zamiast frazeologii demokratycznej w wykreślaniu nowych dróg rozwoju stosunków międzynarodowych na całym świecie, ma ona za zadanie stać się pionierem nowej istotnie pokojowej rzeczywistości prawa międzynarodowego, ma ona usankcjonować fakt całkowitego wyłączenia w przyszłości wojny, jako „narzędzia polityki narodowej i międzynarodowej“.

Czy zdoła to uczynić gremium międzynarodowe, które rozpoczęło w dniu 29 lipca 1946 roku swe wielkiej doniosłości obrady — bliska przyszłość pokaże. Lecz już dziś — w dniach otwarcia Konferencji — można a nawet należy podsumować, niejako a priori, nastręczające się w tym względzie uwadze obserwatora zarówno bardziej pomyślne, jak i mniej pewne horoskopy.

* * *

Przede wszystkim: skład osobowy, strony i kompetencje. Wszystko jest inne, niż poprzednio. Konferencja Paryska nie jest, jak już niżej zaznaczyłem, konferencją europejską, lecz światową. Nie ma „wysokich układających się stron “ o równych prawach i obowiązkach, lecz są zbiorowi członkowie ONZ (UNO — United Nations Organisation) z jednej, z drugiej zaś strony przedmioty międzynarodowej, do czasu, nieufności, mianowicie zbiorowości narodowo-państwowe, które pomogły spiskowi faszystowsko-hitlerowskiemu rozrość się do granic potęgi militarnej, zagrażającej wolności świata. Wreszcie— kompetencje. Są one dosyć skomplikowane. „W zasadzie“ decydować będzie państw dwadzieścia jeden, w rzeczywistoci — cztery niezbyt zgodne, lecz pragnące za wszelką cenę uniknąć wyraźnego rozłamu, mocarstwa kierownicze (Chiny na razie mniej wchodzą w rachubę). Nie wynika z powyższego bynajmniej, aby Konferencja Pokojowa miała być z góry skazana na rolę biernie doradczą bez głębszego wpływu i zr aczenia. Wprost przeciwnie: jej obrady mogą wzmocnić lub osłabić pozycję każdego z poszczególnych mocarstw kierowniczej **tetrarchii** lub odmiennie ukształtować ustosunkowanie głosów w ich łonie (mocarstwa Anglosaskie — Związek Radziecki i grająca czasami ważną rolę języczka u wagi—Francja). Mogą wreszcie wpłynąć nowe zagadnienia lub zaskoczenia międzyaliankie, nawet nas bezpośrednio dotyczące. Mogą, ale nie muszą. I należy wszystko uczynić, by z góry ustalony program Konferecji Pokojowej Paryskiej był ściśle utrzymany i żadnych niespodzianek „międzyalianckich“ nie dopuścił. W stosunku do Finlandii, Węgier, Rumunii i Bułgarii obawy w tym względzie są— zdaje się — zgoła płonne.

Traktaty pokojowe z powyższymi b. satelitami ‚Osi‘‘ zostały przez naradę czterech ministrów spraw zagranicznych naogół zgodnie przygotowane. Wysłucha się przedstawicieli państw zwyciężonych, poczyni się może, tu lub ówdzie, drobne poprawki tekstu i—podpi-



Fontanna Medyceuszów w Ogrodzie Luksemburskim

sze dokumenty, będące wyrazem potrzeb chwili obecnej, w której rzeczone państwa posiadają już właściwe rządy demokratyczne, dające pewniejsze gwarancje pokojowej przyszłości i szybkiego odrodzenia ich stosunków powojennych, narodowych i międzynarodowych. Natomiast traktat pokojowy z Italią budzi szereg zastrzeżeń zwłaszcza ze strony Austrii i Jugosławii, i może wywołać na Konferencji Pokojowej godną szczególnej uwagi dyskusję.

* *

W tym względzie na czoło mniej pewnych horoskopów Konferencji Paryskiej wysuwa się źle załatwiona w rokowaniach wstępnych czterech ministrów projektodawców traktatu, sprawa miasta Triestu i jego najbliższego zaplecza. Ma swe, słabiutkie zresztą, argumenty narodowej natury powojenna Italia, ma na korzyść swej tezy granicznej znacznie mocniejsze uzasadnienie, wprost decydujące ze stanowiska „Karty Atlantyckiej" i nowych praw również i „małych" narodów, — Jugosławia. Lecz obie strony zainteresowane odrzucają zgodnie kompromisowego potworka, który, drogą nacisku anglosaskiego i wyrównawczych ustępstw Francji (trzy głosy przeciwko jednemu Związku Radzieckiego) urodził się na naradzie przygotowawczej 4-ch ministrów kilka tygodni temu. Obie strony odrzucają nowe smutnej pamięci pomysły z okresu po I wojnie światowej (w. m. Gdańsk), pomysły w postaci „okręgu autonomicznego", rządzonego mniej lub więcej w sposób międzynarodowy lub choćby tylko pod kontrolą międzynarodową. Krzywda podstawowa Jugosławii przy takim rozstrzygnięciu byłaby ogromna, ujawniająca w sposób jaskrawy powojenną różnicę między frazeologią a rzeczywistością demokratyczną.

Powrócę do tej sprawy w „Tygodniu" w zależności od tego, w jakich ramach i w jakiej postaci ten projekt nowej „zadry" międzynarodowej tym razem już nie na polskiej północy, lecz na słowiańskim południu powróci na stół obrad plenum Konferencji Paryskiej. A że powróci — to nie ulega wątpliwości.

* *

Przy stole konferencyjnym nie będzie zasiadał główny aktor tragedii lat wojennych, ich twórca—Niemcy. Sprawa traktatu z nimi, już przedwcześnie a niepokojąco omawiana i przyśpieszana przez mocarstwa anglosaskie, nie dojrzała jednak jeszcze do ostatecznego rozstrzygnięcia. Czy nadać Niemcom powojennym postać bardziej ścisłą (federacja), czy bardziej luźną (konfederacja) państwa związkowego i czy poszczególne, dziś wyodrębnione okupacyjnie, obszary Niemiec powiązać wogóle jakimś centralnym rządem i centralną administracją przed ustaleniem **istotnych** gwarancji, że nie urodzi się z tej zbytniej pochopności do nadania już dzisiaj Niemcom równouprawnień międzynarodowych — nowa IV Rzesza, bliźniaczo podobna do III-ej? Oto pytania, które jak groźna chmura burzowa, wiszą jeszcze nad znękanym światem i które oczekiwać będą odrębnej odpowiedzi już po Konferencji Paryskiej.

W Ogrodzie Luksemburskim ciepło, gwarno i rojno. I nie mniej ciepło, gwarno i rojno w starym pałacu...

Paryż powojenny staje się ponownie już nie jedyną, jak za czasów Richelieu'ego i Ludwików, lecz jedną z nielicznych stolic świata, w których rozstrzygają się losy naszego dotąd Janusowego stulecia. Jego stale dotąd wojenne pół-oblicze zastąpić należy wreszcie — twarzą Pokoju. Ale nie tego dawnego pokoju, który znowu, jak ongi, grozić może każdej chwili zerwaniem i katastrofą, lecz nowego **trwałego** pokoju. Musi on, jeśli chce być trwałym, uwzględnić nie tylko interesy wielkich mocarstw kierowniczych, ale i prawa „zadeklarowane" w Karcie Atlantyckiej tak, jak „deklarację" jednostki — prawa człowieka i obywatela uczyniła bynajmniej nieprzemijającym hasłem Wielka Rewolucja Francuska.

Prof. Dr. Emil Stanisław Rappaport



Inauguracyjne przemówienie Clemenceau na otwarciu Kongresu Wersalskiego w 1919 r.

PAŁAC LUKSEMBURSKI

Wznosi się przy ul. Vaugirard i wychodzi na wspaniały ogród tejże nazwy, jedyny w Paryżu ogród w stylu Renesansu. Pałac zbudowany został w latach 1615 — 1620 przez architekta de Brosse na miejscu dawnego zamku księcia de Luxembourg dla królowej Marii Medycejskiej (1573 — 1642), wdowy po Henryku IV, w czystym stylu florenckim wieku xVI. Był nieco przebudowany przez Chalgrina w r. 1804 i przez Gisorsa w r. 1831.

Maria Medycejska darowała pałac księciu Gastonowi Orleańskiemu (r. 1631), po czym posiadała go księżna de Guise (1672); w r. 1694 wrócił do korony, przechodząc na własność Ludwika XIV. Za czasów Wielkiej Rewolucji był więzieniem. Śród innych więźniów tu byli: marszałek Francji Filip de Noailles, zgilotynowany w 79-tym roku życia; wicehrabia de Beauharnais ze swoją żoną Józefiną, późniejszą żoną Napoleona I; Danton, Kamil Desmoulins i znakomity malarz Dawid, który podczas uwięzienia robił tu szkice do swoich „Sabinek". Po okresie terroru miał w pałacu swoją siedzibę Dyrektoriat, który tu właśnie witał tryumfalnie młodego zdobywcę Włoch — Napoleona Bonaparte. Z kolei pałac był siedzibą Konsulatu, a za czasów Cesarstwa stał się Pałacem Senatu i pozostał nim po dziś dzień. W dawnej oranżerii pałacu, przebudowanej i powiększonej, mieści się t. zw. Muzeum Luksemburskie, poświęcone nowoczesnej sztuce francuskiej. Z rzeźbiarzy są tam dzieła Rodina, Landowskiego, Bourdelle'a Maillola; z malarzy mamy Renoira, Toulouse-Lautreca, Moneta, Degasa, Gauguina, Utrilla, Van Dongena, Matisse'a i wielu innych.



Gmach Sprawiedliwości - siedziba komisji sojuszniczej w Trieście.

TRIEST

Jedną z najbardziej spornych kwestii na Konferencji Pokojowej w Paryżu, będzie sprawa Triestu. Rząd marszałka Tito żąda przyłączenia tego portu do Jugosławii; Włosi chcą Triest zatrzymać w swoich granicach, Anglia natomiast chciałaby widzieć go wolnym portem pod opieką państw sojuszniczych, jako punkt zapalny, tak jak to uczynił premier angielski Lloyd George z Gdańskiem podczas Traktatu Wersalskiego. Może jednak względy gospodarcze i etnicznie wpłyną na decyzję plenum Konferencji Pokojowej i Jugosławia otrzyma należny jej port, który ma dla niej zasadnicze znaczenie. Dla Włochów jest to tylko jeden z portów i to nie najważniejszy, rzucony na północy kraju.

O stosunek do Niemców

Podczas swej niedawnej podróży po b. Prusiech Wschodnich miałem w Elblągu rozmowę z małym Niemcem. Było to tak. Siadłem na jakimś przymurku w spalonej dzielnicy miasta, aby się przyjrzeć bliżej jego ruinom, gdy zza gruzów zbliżył się do mnie obdarty chłopiec 7 — 8-letni, o inteligentnej, bardzo wynędzniałej twarzy, utykający na nogę, owiniętą brudnym strzępem. Wyciągnął rękę i powiedział po polsku: „Proszę chleba". Z akcentu poznałem, że nie jest Polakiem. „Czy mówisz po polsku?" — zapytałem. Zaprzeczył ruchem głowy. „Wo sind deine Eltern?" — „Mein Vater ist gefallen, und die Mutter".. I zatrzymał się. „Nun, was ist's mit der Mutter? — „Das weiss ich nicht. Sie ist weg. Vielleicht gestorben". Więcej się nie dowiedziałem. Cóż małem robić? Sam mam córkę w jego wieku. Dałem więc mu 20 złotych, z którymi szybko pokuśtykał w ruiny, mówiąc jednak przedtem grzecznie po polsku: „dziękuje". Wkrótce potem do kawiarni, gdzie piłem filiżankę mocca, weszło dwoje podobnych dzieci, tak samo mówiąc: „prosze chleba". Właścicielka kawiarni, popowstaniowa warszawianka, (a więc człowiek, który doświadczył wiele), dała im po kawałku bułki, i zwróciła się do mnie, jakby usprawiedliwiając swój postępek: „Dużo jest jeszcze tutaj bezdomnych dzieci niemieckich. Ale co robić? Przecie to dzieci. Dzieci szkoda. Cóż one winne?". Gdym wychodził z kawiarni, kobieta zamiatająca stopnie sąsiedniego sklepu, odpędzała miotłą te same dzieci, krzycząc: „Won, szkopskie nasienie". Potem, śród ruin widziałem ich jeszcze gromady. Żebrzą. Zwracają się niepewnie do przechodniów, i na najlżejszy nieprzyjazny gest rozbiegają się w ruinach jak szczury. Dowiedziałem się, że i w innych miastach pruskich wałęsa się sporo dzieci niemieckich — takich właśnie, jakie oglądaliśmy niegdyś na wzruszającym filmie radzieckim p. n. „Biezprizornyje".

Natomiast w Gdańsku byłem widzem innego obrazu. Przed gmachem województwa stało dwóch wypasionych Niemców, dobrze ubranych, z cygarami w zębach. Rozmawiali z Polakiem, o podobnym wyglądzie, wszyscy trzej zadowoleni z życia. Polak nie miał na nich miotły, jak owa kobieta w Elblągu na dwoje wychudłych sierot. Zapewne wszyscy trzej byli z natury i z przekonań spekulantami, a ten typ człowieka zawsze się porozumie, nie ma skrupułów i nie uznaje przesądów tego rodzaju, co ojczyzna lub moralność. I przypomniała mi się jeszcze jedna scena, której świadkiem byłem w Łodzi, na przystanku tramwajowym przy ul. Piotrkowskiej. Żebrała tam staruszka, całkiem zgrzybiała i nędzna. Jakiś pan wydostał już z kieszeni złotówkę dla niej, gdy ktoś inny powiedział z oburzeniem: „Co pan robi? To Niemka. Ona stale tu żebrze". Pan cofnął swój datek, nie mając odwagi publicznie wesprzeć starej, niedołężnej Niemki. Uląkł się, że w opinii publicznej może się wydać złym Polakiem.

Obserwowałem tę scenę, czytając gazetę, z której się właśnie dowiedziałem, że pewien prokurator krakowski został aresztowany za różne nadużycia, między innymi za to, że za grube pieniądze „wybielał" rajchsdojczów.

Powyższe obrazki nasuwają pewne refleksje. Nie ulega wątpliwości, że dużo jest jeszcze Niemców w Polsce. Tam, w Prusiech Wschodnich i w Gdańsku, widziałem, jak wielu z nich używanych jest do robót. Słusznie i sprawiedliwie. Zdrowi i silni Niemcy powinni ciężko pracować. W Łodzi tak samo zatrudnieni bywają folksdojcze, i niejedna rodzina polska otrzymała w „przydziale" folksdojczkę jako służącą. Ale — że powtórzę pytanie warszawianki z Elbląga:— Cóż winne są dzieci? Albo: co winne bezsilne staruszki? Trzeba się nimi w ten czy inny sposób zająć. Zapewne najlepiej byłoby wywieźć je do Niemiec. Jeśli się tego nie robi, niedobrze jest, gdy stare Niemki żebrzą po ulicach, a dzieci dziczeją, żyjąc wśród gruzów zniszczonych miast. Niedobrze z wielu względów.

Najważniejszy z nich jest wzgląd na — moralność powszechną. Innego słowa nie znajduję, acz nie jestem moralistą, a tymbardziej moralizatorem. Niedawno przeczytałem w jednym z pism uwagi na temat publicznych egzekucyj, wykonanych na Greiserze i na zbrodniarzach ze Stutthoffu. Takie egzekucje—dowodziło pismo—pobudzają instynkt okrucieństwa, zaczadzając Polskę oparami krwi, której i bez nich mieliśmy aż nadto. Wiemy wszyscy, iż sadyzm ma tę właściwość, że objawia się wobec istoty słabszej od nas i bezbronnej; wobec silniejszego nie możemy być ani okrutnikiem ani sadystą; przeciwnie, sami wówczas drżymy o własną skórę. Myślę, że kobieta, która przepędza miotłą dwoje głodnych dzieci, chętnieby poszła na egzekucję w Stutthoffie, a gdyby się znalazła w Kielcach w momencie rzezi Żydów, wzięłaby w niej z pasją udział. Myślę również, że taka kobieta, za okupacji niemieckiej, mogła się łatwo a niepotrzebnie wysługiwać Niemcom jako silniejszym wówczas. Myślę też, że wobec Niemców w naszym kraju zajmujemy dziś częstokroć takie stanowisko, iż wyładowujemy swoją patriotyczną nienawiść na osobnikach całkiem słabych, z silniejszymi zaś być może nawet paktujemy i wchodzimy z nimi w konszachty czyli interesy. Takie sprawy się mszczą, istnieje bowiem zawsze „przekleństwo złego czynu". I mogą się mścić na nas samych, pogłębiając w nas to znieprawienie moralne, jakiemu dostatecznie ulegliśmy czasu wojny. Wracając zaś do bezdomnych dzieci niemieckich w miastach Prus Wschodnich, ciekawe jest, czy nie dałoby się przeprowadzić na nich pewnego doświadczenia pedagogicznego: wziąć je do ochronek i sierocińców polskich i spróbować wychować na Polaków. Locke utrzymywał, że dziecko jest gliną, którą można ulepić, jak się chce.

Jerzy Wyszomirski

P. S. Do felietonu mego w Nr 4 „Tygodnia" zakradł się niedorzeczny błąd korektorski. Należy czytać: „Można być kominiarzem-humanistą", nie: „komisarzem-humanistą".

PRAWDA O ROŻNOWIE



Jezioro Rożnowskie

Zapora rożnowska powstała w dwóch celach. Pierwszym z nich było zapobieżenie katastrofalnym powodziom, jakie na tej górskiej rzece zdarzały się niemal co roku. Straszna powódź w lipcu 1934 r. przyśpieszyła decyzję wybudowania zapory na Dunajcu.

Drugim celem — niejako już pobocznym — ale też bardzo ważnym — było zelektryfikowanie dużej połaci kraju, a przede wszystkim rozbudowanego przed wojną z rozmachem iście amerykańskim C.O.P. czyli Centralnego Okręgu Przemysłowego.

Budowę rozpoczęło w roku 1935 Ministerstwo Komunikacji. W momencie wybuchu wojny zapora była ukończona w 80 proc., instalacje zaś czyli urządzenia mechaniczne i elektryczne w 60 proc. Niemcy prowadzili prace dalej **według planów polskich** i ukończyli dzieło w drugiej połowie roku 1941. Elektrownię ukończono w grudniu tego samego roku. Wspomnieliśmy, że chodziło o zapobieżenie powodziom. W jaki sposób osiąga się ten cel? Oto przez wzniesienie zapory na rzece uzyskuje się mniejszy lub większy zbiornik wodny, którego zadaniem jest wstrzymanie fali powodziowej. W tym celu zbiornik powinien być stale opróżniany, a woda powinna przepływać swobodnie przez otwarte śluzy. W momencie, kiedy z górnego biegu rzeki zostanie sygnalizowane nadchodzenie dużej wody, śluzy się zamyka, aby przysposobić zbiornik do przyjęcia fali. Pojemność zbiornika jest tak zawsze obliczana, aby mógł on zmieścić swobodnie największą falę powodziową. Następnie cały nadmiar wody wypuszcza się przez otwory w zaporze tak, aby nie wywołać w dolnym biegu rzeki większych zmian w wodostanie.

Sprawa jednak komplikuje się wtedy, gdy przy zaporze znajdować się ma zakład elektryczny, który powinien pracować bez żadnych wahań. W okresie, gdy zbiornik byłby pusty, zakład elektryczny nie mógłby produkować energii. Wobec tego zbiornik wodny musi stale być napełniony, aby zapewnić elektrowni stałą pracę. Oczywiście zbiornik nigdy nie jest wypełniony do ostatka, musi przecież istnieć miejsce na przypuszczalny przybór powodziowy.

Szerokość jeziora nie jest duża ponieważ dolina Dunajca w tych okolicach jest dość wąska i nie przekracza 2 km. Jezioro to ma 18 km. kwadratowych powierzchni i zawiera 230 milionów metrów sześciennych wody.

JAK NIEMCY Z ROŻNOWA UCIEKALI?

Już w lipcu 1944 r. Niemcy rozpoczęli częściową ewakuację, wywożąc szereg aparatów elektrycznych, stanowiących wyposażenie rozdzielni o 20.000 vo. Zdemontowali częściowo zespoły turbin. W połowie stycznia 1945 roku sytuacja na froncie była tego rodzaju, że Niemcy w Rożnowie czynić zaczęli gorączkowe przygotowania do ucieczki. Dnia 17 stycznia o godzinie 5 po południu zdecydowali się wreszcie na rozbiórkę urządzeń technicznych. Zdążyli załadować na samochód niektóre maszyny. Przerażeni zbliżającymi się odgłosami walk, biegali jak oparzeni. Było tu trochę Wehrmachtu, trochę SS i OT. W pewnej chwili przybiegł ktoś z wiadomością, że we wsi jest już sowiecki czołg. Popłoch ogarnął Niemców. Zdążyli jednak w ostatniej chwili rzucić regulator do wody na głębokości 6 metrów i uciekli pieszo przez zaporę na zachodni brzeg Dunajca, chowając się w okopach wyciętych w zboczu stromej góry, w lesie.

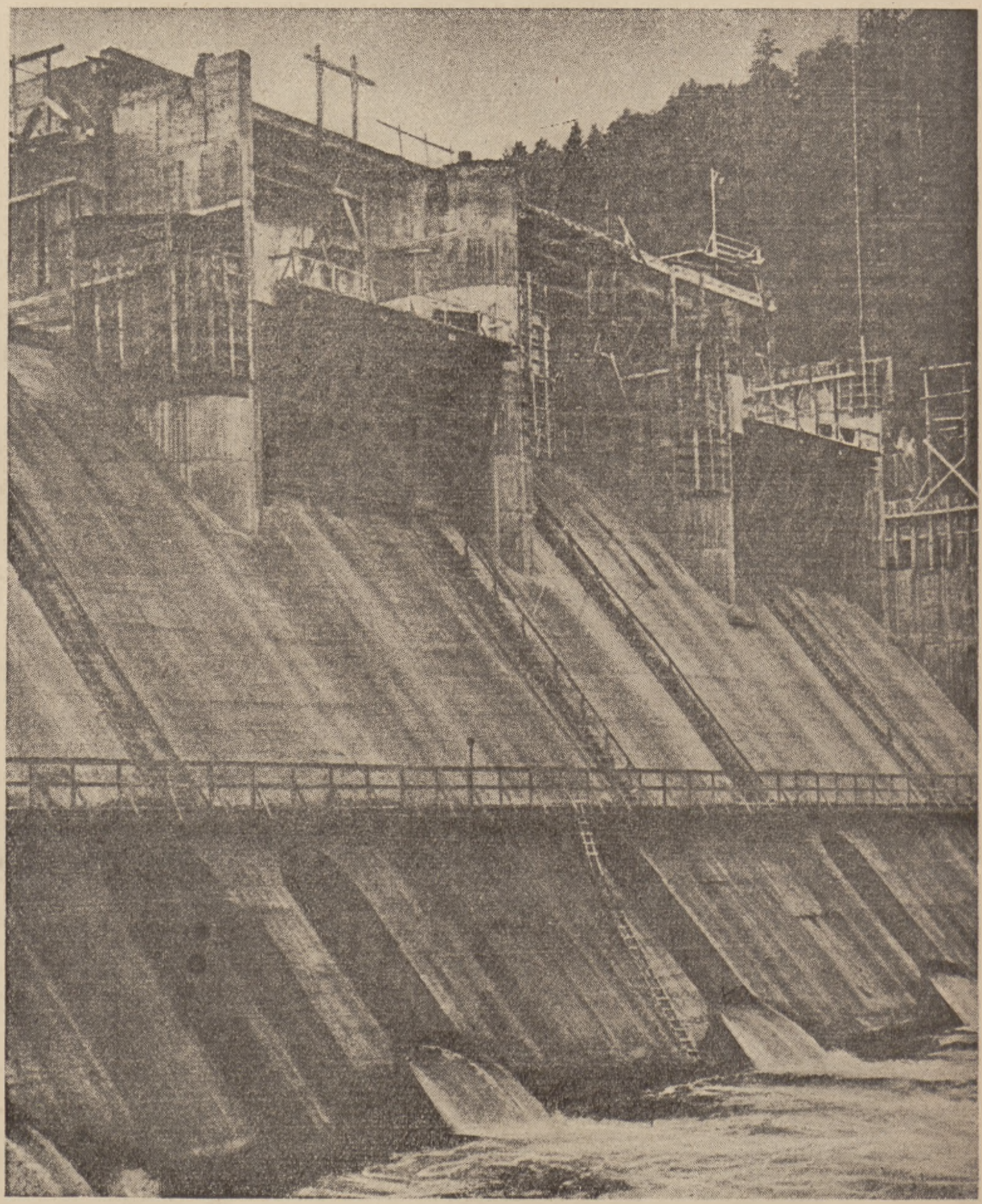
Polscy robotnicy zabrali się natychmiast do wydobycia zatopionego regulatora, tak że o godzinie wieczorem elektrownia została na nowo uruchomiona.

JASNA PRZYSZŁOŚĆ

Rożnów jest jednym z wielu projektowanych zakładów wodno-elektrycznych w Polsce. Obecnie, ciężkie warunki powojenne odsuwają na plan dalszy możność zrealizowania w całej pełni planu elektryfikacji Polski. Sprawa jest jednak bardzo ważna dla naszego przyszłego rozwoju gospodarczego, dlatego też odpowiednie czynniki winny zwrócić na nią baczną uwagę.

Gdy kraj nasz — posiadający tyle górskich rzek — pokryje się siecią przewodów wysokiego napięcia, rozprowadzających energię elektryczną do wszystkich jego zakątków, nastanie naprawdę jasna przyszłość. Wsie i miasteczka rozjarzą się tysiącami świateł elektrycznych — a wspomnienie czarnych, zaciemnionych lat wojny zbledne szybko i zniknie w ludzkiej pamięci.

Stanisław Pagaczewski



Zapora wodna na Dunajcu w Rożnowie

Kronprinz marzy o trzeciej wojnie

i udziela wywiadu za dwie paczki Camel'i

Przedsiębiorcza korespondentka tygodnika paryskiego „La Marseillaise" Marie Luise Barron wyszperała miejsce pobytu b. kronprinza, syna Wilhelma II i ukrywszy swą narodowość pod płaszczykiem neutralnej szwajcarskiej gazety dotarła do jego siedziby.

Kronprinz, wraz ze swym synem przebywa na terenie Niemiec w strefie francuskiej w miejscowości Hechingen na pograniczu Czarnego Lasu w Wirtembergii. Mieszka w zarekwirowanej dla niego willi, która należała uprzednio do jakiegoś przemysłowca żydowskiego. W oprawie wybitnie mieszczańskiej kamerdyner pełniący zarazem funkcje szofera stara się utrzymać atmosferę dworską i melduje przybyłą dziennikarkę „Jego Cesarskiej Mości".



Zdjęcie kronprinza z okresu wojny światowej.

Wywiad odbył się przy zachowaniu etykiety, dziennikarka dygała i tytułowała 61-letniego Hohenzollerna „Ekscelencja", aby się dowiedzieć kilku szczegółów z jego przeżyć. Kamerdyner ubolewał, że Hohenzollernowie żyją z wyprzedaży klejnotów i obrazów, a sam kronprinz rozpaczał, że zamiast jeździć stukonnymi wozami sportowymi, do których przywykł, musi się nieborak, zadowolić 4-konnym samochodzikiem łaskawie ofiarowanym przez Francuzów.

Oto garść wynurzeń niedoszłego cesarza niemieckiego:

„Przeżyliśmy 5 lat w Wieringen w Holandii. Bardzo, bardzo przykre. Potem na szczęście, znaleźli się socjaliści niemieccy (tacy jak dzisiejszy Schuhmacher — uwaga tłumacza). Oddali mi nasze dobra, moje ziemie w Prusach i mój zamek w Poczdamie. A teraz wszystko tam zostało. Ten głupi reżim hitlerowski zabronił wywozić stamtąd cośkolwiek"...

A więc nie zgadzał się pan z reżimem hitlerowskim, Ekscelencjo? pada pytanie.

„Byłem przeciwny, byłem przeciwny. Zresztą trzymałem się zawsze na uboczu. W czasie tej wojny nie chcieli mnie mianować generałem, więc zostałem w cywilu...

W momencie kapitulacji mieszkałem w Vorarlberg w pawilonie myśliwskim. Francuzi mnie aresztowali. Bardzo, bardzo uprzejmi. Więzili mnie przez trzy tygodnie, w Lindau, jako zbrodniarza wojennego. Bardzo, bardzo uprzejmi. W pokoju hotelowym... Ale przekonali się, że nie jestem niebezpieczny."

W tym miejscu pani Barron wyraża pogląd odbiegający od opinii władz francuskich, i cytuje dalej kronprinza:

„Teraz jestem w Hechingen, gdzie mam kilka majątków, bardzo, bardzo biednych..."

Korespondentka francuska pragnęła snać wyciągnąć jeszcze więcej zajmujących wynurzeń ze swego rozmówcy, gdyż skierowała jego uwagę na dawne zamiłowania, między innymi, łowiectwo.

„Polowanie? — oburzył się — nie mam prawa posiadać nawet dubeltówki. Konie? Niech mi pani lepiej nie przypomina. Miałem parę czystej krwi. Wspaniałe... Zostały w Prusach. Kiedy myślę, że może dosiada ich marszałek Żukow..." — dalsze słowa utkwiły w „szlachetnym" gardle.

Obraz marszałka Żukowa na klaczy hohenzollernowskiej podziałał pobudzająco na polityczne myślenie kronprinza. Przypomniał sobie, że w Bawarii istnieje silna partia monarchistyczna. To go pocieszyło, choć przeczył, że nawet ta partia chce Wittelsbacha a nie Hohenzollerna.

„Robi się u nas wiele propagandy — zwierzał się w dalszym ciągu. — Mówi się ciągle o demokracji. Bardzo, bardzo trudne. Naród niemiecki chce zjednoczenia. I rozkazów. Chce przywódcy. Nie sądzę by pragnął demokracji. A właściwie co to znaczy demokracja? Za rządów mojego ojca mieliśmy mniej władzy niż np. prezydent Roosevelt. Reichstag ciągle nam brużdził... Nasza młodzież? Bardzo, bardzo trudne. Przyzwyczaiła się do dyktatury... Pozostała tylko jedna nadzieja. Cofnąć Rosjan do Odry. To powinno być natychmiastowym zadaniem Aliantów. Trzy czwarte Niemców zgłosi się na ochotnika w wojnie przeciwko Rosji..."

Właściwie nie powiedział nic nowego. Z drobnymi wariantami powtórzył to co jest przedmiotem propagandy na terenie całych Niemiec. Wywiad ten kosztował korespondentkę dwie paczki papierosów amerykańskich „Camel", ofiarowanych „jego b. cesarskiej wysokości".

Czy warto było?

Rozmaitości

Jeden z najstarszych kościołów w Paryżu na lewym brzegu Sekwany kościół Saint Germain des Prés, zbudowany w XI w., mieści zwłoki króla Jana Kazimierza, który po 20-letnim panowaniu zrzekł się korony i jako przeor w zaciszu klasztornym w 1672 r. umarł. W północnej nawie tego kościoła przy bocznej ścianie znajduje się piękny i okazały pomnik, poświęcony pamięci Jana Kazimierza z napisem łacińskim, streszczającym dzieje jego panowania i czynów dokonanych w wojnie z Kozakami i Szwedami.

•

Sławny Milton, autor „Raju utraconego", po śmierci swej żony, zaślubił drugą kobietę bardzo piękną, lecz z charakteru podobną do prototypu złych małżonek — Ksantypy. Lord Buckingham spotkawszy Miltona pewnego razu rzekł: „masz żonę śliczną, jak róża". — „Z powodu swej ślepoty nie mogę sądzić jej barw, lecz czuję wybornie jej kolce"—odparł smutno Milton.

Walka o Palestynę

Sytuacja, jaka wytworzyła się w Palestynie i wokół Palestyny wskazuje, że ani deklaracja Balfoura, ani Biała Księga z roku 1939 nie rozwiązały zagadnienia Palestyny. Składa się na to wiele czynników, a nie tylko żądania z jednej strony Żydów, z drugiej Arabów.

Jedno jednak zdaje się nie ulegać najmniejszej wątpliwości, mianowicie to, co przed brytyjsko-amerykańską Komisją Ankietową oświadczył stary przywódca robotniczy i prezes Egzekutywy Agencji Żydowskiej w Jerozolimie, Dawid Ben Gurion: że Żydzi odbudowali Palestynę w jej obecnym obliczu, a Palestyna wychowała nowe pokolenie żydowskie.

Wśród Arabów, którzy opierają się wytrwale napływowi dalszych Żydów do Palestyny istnieje pewne zasadnicze nieporozumienie: walczą oni wciąż jeszcze — jak przed 30 laty — z syjonizmem, jako z tym kierunkiem politycznym, który głównie dąży do stworzenia z Palestyny nowoczesnego państwa żydowskiego. Tymczasem najwybitniejszy przedstawiciel syjonizmu, prezes przewidzianej w deklaracji Balfoura Agencji Żydowskiej dr. Chaim Weizman stwierdza wyraźnie, że sprawa powrotu Żydów do Palestyny nie jest wynikiem żadnej doktryny politycznej, nie jest celem wyłącznie syjonizmu, lecz jest najgoretszym pragnieniem wielu Żydów, w pierwszym rzędzie europejskich. Ilu? około 80 procent.

Z 17-tu milionów Żydów rozrzuconych po świecie pozostało po tej wojnie 11 milionów. 6 milionów zostało wymordowanych. W Europie zostały zaledwie niedobitki. Cóż ma się stać z nimi? Kto może żądać, aby żyli nadal na owym ogromnym cmentarzysku europejskim? Żydzi nie chcą więcej pozostawać w Europie, chcą z niej wyjść prawie wszyscy i prawie wszyscy kierują się na zachód i na południe w przekonaniu, że zbliżają się do Ziemi Obiecanej i w nadziei, że do niej dotrą. Antysemityzm — jak to stwierdził dr. Weizman — zaszczepiony przez hitleryzm, szerzy się nawet w takich krajach, które tradycyjnie nie znały antysemityzmu: we Francji, w Belgii, Holandii. W krajach anglosaskich, w których w tej chwili nie ma jeszcze antysemityzmu, może on wybuchnąć w przyszłości wskutek wielkiego skupienia Żydów. Palestyna jest przeto jedynym naturalnym ujściem dla tych mas żydowskich, które nie chcą, lub nie mogą pozostać na cmentarzysku europejskim.

Jak jednak rozwiązać zagadnienie Palestyny wobec oporu Arabów, by mogła ona przyjąć prawie wszystkich pozostałych przy życiu Żydów europejskich, jeśli w dawnych niemieckich obozach koncentracyjnych żyją dziesiątki tysięcy Żydów oczekujących na możliwość wyjazdu do Palestyny, zaś rząd mandatowy palestyński wpuszcza zaledwie po 1500 emigrantów żydowskich miesięcznie.

I to właśnie zagadnienie jest najtrudniejszym do rozwiązania zdaniem kół żydowskich w Palestynie. Nie bierny opór Arabów, lecz jak najszybsza masowa emigracja deportowanych Żydów w Europie. Losy Palestyny i kolonizacji żydowskiej przechodziły bowiem w ostatnich dziesiątkach lat różne koleje. Zaczęło się przyjacielskim układem między doktorem Weizmanem, a królem Feisalem o otwarciu szeroko bram Palestyny dla kolonizacji żydowskiej. Oficjalny akt rządu brytyjskiego z roku 1917, znany pod nazwą deklaracji Balfoura przyrzekał utworzenie w Palestynie żydowskiej siedziby narodowej. Liga Narodów potwierdziła to zobowiązanie w akcie mandatowym, oddającym zarząd Palestyny Wielkiej Brytanii. Ale kilkakrotny krwawy zryw Arabów przeciw napływowi Żydów doprowadził wreszcie w maju 1939 r. do konferencji Okrągłego Stołu w Londynie i do wydania Białej Księgi, zamykającej dalszą emigrację żydowską do Ziemi Obiecanej. Ówczesny rząd Nevilla Chamberlaina doszedł do przekonania, że zobowiązanie delaracji Balfoura utworzenia żydowskiej siedziby narodowej w Palestynie zostało dopełnione — wbrew opinii przywódców żydowstwa światowego. Co więcej, żądają oni obecnie utworzenia z Palestyny państwa żydowskiego. Aby jednak dojść do stadium możliwości takiego rozwiązania trzeba, by Żydzi uzyskali w Palestynie większość wbrew sprzeciwowi i oporowi nie tylko Arabów palestyńskich, ale całego świata arabskiego.



Wielki mufti Jerozolimy na audiencji u Hitlera

W czasie prac anglo-amerykańskiej Komisji Ankietowej w Palestynie rzucony został projekt stworzenia państwa żydowskiego nie z Palestyny, lecz w Palestynie. Pociągnełoby to za sobą konieczność nowego podziału i tak małego kraju, podzielonego już raz przez oderwanie Transjordanii i utworzenie z niej osobnego emiratu, obecnie królestwa. Przeprowadzenie linii granicznej między Palestyną żydowską, a arabską byłoby i tak trudne i nie ulega wątpliwości, że powstałby nowy problem mniejszości narodowych, który prowadziłby do dalszych zadrażnień. Projekt nowego podziału Palestyny rozważany już był kilkakrotnie w Londynie, natrafił jednak na sprzeciw zarówno ze strony żydowskiej, jak i arabskiej. Gdyż zarówno Żydzi, jak i Arabowie są przekonania, że zdołają zatrzymać całą Palestynę wyłącznie dla siebie.

Argumentacja działaczy żydowskich za stworzeniem z Palestyny państwa żydowskiego idzie w tym kierunku, że Palestyna daje realne podstawy narodowi żydowskiemu do takiego rozwiązania zagadnienia. Dr. Weizman stwierdził w jednej ze swych enuncjacji, że w Argentynie 350.000 kolonistów żydowskich w o wiele korzystniejszych warunkach nie stworzyło właściwie nic poza utrwaleniem własnego bytu, podczas, gdy taka sama liczba Żydów w Palestynie w ciągu 50 lat stworzyła w tym kraju własną cywilizację i kulturę.

Dzięki naukowym zdobyczom, stosowanym przez kolonistów żydowskich w rolnictwie, możnaby w najbliższej przyszłości osadzić na roli dalszych 900.000 Żydów, co da w następstwie możność zatrudnienia 2—3 Żydów w handlu i w przemyśle na każdego rolnika. Znany specjalista amerykański w dziedzinie konserwacji gleby, dr. Lowdermilk, który zwiedził i zbadał dolinę Jordanu stwierdził, że daje ona możliwości osiedlenia i pracy dla 4- - milionów kolonistów, po przeprowadzeniu odpowiedniego systemu irrygacyjnego.

Arabowie nie chcą jednak tego zrozumieć. A przecież żydowska Palestyna nie przedstawiałaby dla Arabów żadnego niebezpieczeństwa, otoczona zewsząd, jak wyspa, Morzem Arabskim. Już dziś Palestyna jest filią Europy, jest jej naturalnym przedłużeniem w przeskoku przez Morze Śródziemne. Arabowie, walcząc z Żydami, obawiają się postępu, choć uczą się zwolna od Żydów racjonalnej gospodarki rolnej. Bogacze arabscy obawiają się zbyt szybkiej emancypacji mas arabskich.

Na czele opozycji arabskiej stoi w pierwszym rzędzie bogata i można w Palestynie rodzina Husseinich, której głową jest zbiegły ostatnio z Paryża wielki mufti.

W jego zastępstwie działa na miejscu nieprzejednany wróg Żydów, Dżamol effendi Husseini, który przed kilku miesiącami dopiero uzyskał zezwolenie na powrót z wygnania do kraju. W tej chwili jednak za Arabami palestyńskimi stoi cała Liga Arabska, stworzona zresztą podczas wojny z inicjatywy Anglików i przez nich popierana. Ponieważ zaś syjonizm przestał już być ruchem czysto politycznym, a stał się żywiołowym ruchem narodowym, walka o Palestynę jest walką całego świata arabskiego z całym światem żydowskim. Oba obozy stoją na stanowiskach ekstremistycznych. Żydzi domagają się utworzenia odrębnego państwa żydowskiego, przyrzekając zagwarantowanie praw mniejszości arabskiej, dla Arabów zaś deklaracja Balfoura nie ma podstaw prawnych, a akt mandatowy jest aktem nielegalnym. Wobec tego żądają nie tylko wstrzymania dalszej imigracji żydowskiej do Palestyny, ale nadto usunięcia z kraju tysięcy Żydów, którzy osiedlili się tu w okresie między jedną wojną, a drugą i podczas wojny. Tragedia Żydów europejskich nic nie obchodzi Arabów. W tej chwili jednak nie posiadają oni fizycznej siły, by przeciwstawić się woli Anglii, dawkującej imigrację po 1500 osób miesięcznie.

W tych warunkach żądanie zarówno Żydów jak i Arabów usunięcia wojsk brytyjskich z Palestyny jest żądaniem czysto abstrakcyjnym. Nie ulega bowiem wątpliwości, że po usunięciu wojsk brytyjskich z Palestyny, przyszłoby do otwartej wojny między obu bratnimi narodami semickimi. Przywódcy obu narodów nie lękają się otwartej wojny, wierząc, że tylko wynik takiej wojny przyniósłby ostateczne rozwiązanie problemu palestyńskiego. Rozwiązanie radykalne. Czy jednak Żydzi palestyńscy nie przeceniają swych sił? Stosunek ludnościowy, 600 tysięcy Żydów na 1.200.000 Arabów nie jest rachunkiem ostatecznym. Biologicznie Arabowie są rasą silniejszą i wykazują większy przyrost naturalny, aniżeli Żydzi, zmuszeni wobec tego liczyć na ciągły dopływ żydowstwa światowego. Tymczasem po tragedii Żydów europejskich rezerwuar europejski może się rychło wyczerpać. Zaś Żydzi amerykańscy, czy południowo - afrykańscy nie dadzą Palestynie ludzi. Dadzą tylko pieniądze. A za pieniądze nie stworzy się państwa żydowskiego.

I to jest zasadniczy dylemat Palestyny.

Aleksander Then

Przyjaciel Polski – Aleksander Hercen

W końcu marca 1812 r. bogatemu kupcowi rosyjskiemu Jakowlewowi urodził się nieślubny syn z Niemki, którą Jakowlew przywiózł sobie ze Stuttgartu. Synowi dał imię Aleksander, a nazwisko — Hercen, przypominające wyraz niemieckiego Herz — serce, co miało być oznaką, że dziecko było owocem serdecznej miłości.

Młody Hercen odznaczał się wielką bystrością umysłu, wrodzonymi talentami i dostojeństwem duszy. W latach 1850 — 1870 zyskał nie mniejszą sławę od Tołstoja w całym cywilizowaynm świecie, a jako myśliciel zwany jest „ojcem rewolucji rosyjskiej", gdyż wszystkie rewolucyjne prądy noszą na sobie piętno jego ducha rycerskiego, walczącego o idealny „złoty wiek" dla całej ludzkości.

W młodzieńczym już wieku zapoznał się z dziełami Woltera, po tym entuzjazmował się Schillerem i Wielką Rewolucją Francuską. W czasie studiów na wydziale fizyko - matematycznym na uniwersytecie w Moskwie, Hercen bierze żywy udział w kołach młodzieży liberalnej, poruszonej do głębi wypadkami paryskimi i powstaniem polskim w 1830 r. Nad łóżkiem młodego Hercena wisi portret Kościuszki. To też sympatie te spowodowały zesłanie Hercena, po ośmiu miesiącach więzienia, do Wiatki, skąd po kilku latach pozwolono mu powrócić do Moskwy.

Pisze „Listy o badaniu przyrody", „Listy o dyletantyżmie" w których znajdujemy wielki wpływ Hegla, wreszcie w 1847 r. opuszcza Rosję jako dobrowolny emigrant, aby już więcej nie powrócić do ojczyzny. „Zagranica" wydawała mu się rajem, ale szybko się rozczarował. Zdawało mu się początkowo, że na zachodzie Europy wyrasta z posiewu rewolucji społeczeństwo idealne. Przekonał się jednak, że „wyrastało tylko... inne". „Że wszechwładne zapanowanie burżuazji niewiele więcej warte od wyrugowanego możnowładztwa arystokracji. Ponad nowym układem socjalnym unosiło się całe mrowie — utopii". Nawet surowa teoria Proudhona o podporządkowianiu jednostki społeczeństwu, a społeczeństwa nakazom bezwzględnej sprawiedliwości nie zadowoliła Hercena.

Otrzymawszy po śmierci ojca ogromny spadek, otworzył gościnny swój dom dla wszystkich emigrantów świata. Kossuth i Mazzini korespondują z nim stale. Rodak nasz, Stanisław Worcell staje się dla Hercena wyrocznią i zapoznaje go z całym światem ówczesnej polskiej emigracji.

W 1850 r. wydał dzieło p. t. „Z tamtego brzegu", w którym podał swoje credo filozoficzno - socjalne.

Nie pozostał po wielkim Rosjaninie żaden czyn, ale pozostała po nim idea, ta „siła fatalna", która urobiła całe pokolenia. „Burżuazyjny układ społeczny" wydał mu się godnym co rychlejszego wytępienia. Zawołał więc: „Niech żyje rewolucja! Niech kamień na kamieniu nie zostanie z obecnego świata! Niech żyje przyszłość. My wszyscy stańmy się katami przeszłości!". Hercenowi estecie i sceptykowi, dalekiemu od lubowania się w pożogach i mordach, rewolucja nie wydawała się czymś tak idealnym, że po jej dokonaniu nastąpiłby natychmiast „wiek złoty". Bo, któżby go stworzył? Te masy, co dokonały rewolucji? Nie. Hercen smaga niemiłosiernie wszelkie ujemne strony każdej rewolucji. Dorwanie się do władzy „najmarniejszych żywiołów, robienie na rewolucji kariery, „panoszenie się nowych karierowiczów". Czuje sam, że ideał, jaki sobie wymarzył, jest bardzo daleki. Dochodzi do wniosku, że ludziom, odczuwającym marność tego świata, nie pozostaje nic innego jak uciec od tego świata... „na tamten brzeg". Sam zmurszały świat rozwali się, a „sama świadomość, że świat wart zagłady, już jest czynem". Doszedłszy do takich wniosków, spotkał się z Tołstojem, który miał tę samą odrazę do wszelkiego czynu gwałtownego, do mordu i krwawej rozprawy. To samo „uciekanie od świata". „Uciekłszy" na tamten brzeg" nie pogrążył się w beznadziejnym pesymiźmie. Nie mógł żyć bez wiary w idealne odrodzenie się świata — choćby po wiekach. I oto wynalazł dla swej wiary zbawienie, widział je w chłopach rosyjskich, którzy mieli przynieść światu socjalny ideał. Obwieścił więc światu mesjanizm rosyjski — ludowy. Nie będziemy tu analizować mesjanizmu Hercena, uczynił to bowiem w obszernej rozprawie prof. M. Zdziechowski.

W r. 1857 zaczął Hercen wydawać w Londynie po rosyjsku „wolną trybunę" — p. t. „Kołokol". Pismo to dzięki dobrym informacjom i korespondencjom oraz talentowi samego Hercena zdobyło sobie szybko rozgłos w Rosji, olbrzymią popularność, gdyż poparło sprawę usamowolnienia włościan. A gdy jeszcze usamowolnienie włościan stało się faktem — „Kołokol" Hercena stanął w całej glorii zwycięstwa. W 1861 r. przybył do Londynu wielki przyjaciel Hercena — Bakunin, który zbiegł z kopalń syberyjskich. Bakunin również wielki orędownik sprawy polskiej, prześladowany był przez rząd carski za swe przekonania rewolucyjne i stawanie w obronie słuszności i sprawiedliwości. Za to stanowisko w sprawie polskiej, zarówno Bakunin, jak i Hercen ogłoszeni zostali przez rząd carski za „zdrajców ojczyzny".

Rozgoryczony Hercen, że jego ideały nie znajdują zrozumienia w świecie, a nawet u własnych rodaków, u których zyskiwał wpływy głośny Pobiedonoscew — przenosi się do Genewy a nastepnie do Paryża i tu umiera w 1870 r., pochowany na własne życzenie w Nizzy.

Zgasł w aureoli bohaterstwa, z jakim ducha ludzkiego podnosił ku tak wielkim, że aż niezniszczalnym ideałom, z jakim zwalczał — tragiczny, bezlitosny ale szlachetny pesymizm własny.

„Duch to był potężny w walce, a bezradny wobec ogromu wymarzonego ideału.. Padł, zwyciężony przez górność swojego lotu, jak najtragiczniejszy z Ikarów. Przerażony marnością życia ogólno - ludzkiego, skazywał je na doszczętną zagładę w rozpacznym, anarchicznym zapamiętaniu się, aby na tym mogło powstać nowe życie, ugruntowane na swobodzie i prawdzie. I powaliło go... zwątpienie w możliwość powstania w ogóle kiedyś idealnego życia". Tak pisał o Hercenie poeta Czesław Jankowski przed kilkudziesięciu laty.

My, Polacy, mamy wobec Hercena nie tylko dług wdzięczności za cenne rady udzielane naszym delegatom Rządu Narodowego na emigracji w roku 1863 i za szczere sprzyjanie sprawie naszej niepodległości, ale i za liczne usługi oddawane nam w tych kołach, na które miał wpływ.

Musimy też pamiętać, że Hercen sprzyjając sprawie polskiej w 1863 r. postawił na kartę całą swoją popularność i swoją karierę, i dlatego tym większą wdzięczność musimy okazać wielkiemu „fiozofowi europejskiego anarchizmu", jak popularnie nazywają Hercena.

M.B.

OBRONA STARÓWKI

W numerze dzisiejszym podajemy dalszy ciąg fragmentów z mającej się ukazać książki p. t „Moje wspomnienia z konspiracji i Powstania" Kpt. Ognistego.

PODODCINEK KPT. GOZDAWY

Kpt. Gozdawie z dniem 9 sierpnia przypadł odcinek najbardziej niebezpieczny, bo pod ciągłym atakiem t. j. ul. Miodowa, Senatorska, Ratusz, Kanoniczki, Bank Polski, Bielańska, Pałac Radziwiłłów, Tłomackie, Przejazd, Pałac Mostowskich, Arsenał, Długa do ulicy Kilińskiego.

Na odcinku tym walczyły: 1-sza kompania wypadową kpt. Prusa (196 ludzi), 2-ga kompania szturmowa por. Wrony (153 ludzi), 4 kompania ppor. Jawora (164 ludzi), 5-ta kompania ppor. Wyrwy (104 ludzi), 6-ta kompania por. Jara (197 ludzi), kompania „Orląt" (146 ludzi), kompania saperów por. Benetta (158 ludzi), kompania por. Kalinowskiego (inż. arch. Kędzierskiego — 96 ludzi), kompania kpt. Piotra (Kalinowskiego) z batalionu im. Łukasińskiego, kompania ppor. Szczepańskiego (W.K.R.A.), 2-a kompania baonu Chrobry pod dowództwem kpt. Zdana, oddział Armii Ludowej, pluton dywizjonu „Smok" oraz pluton „Tramwajarzy" pod dowództwem ppor. Wojciechowskiego (45 ludzi). Wszystkie reduty pododcinka kpt. Gozdawy, były najwięcej wystawione na bezustanne ataki lotnictwa, artylerii, dział kolejowych, granatników, C.K.M.-ów, miotaczy ognia i min powietrznych t. zw. „szaf". Dzień i noc bez przerwy załogi tych redut zasypywane były tysiącami pocisków różnego kalibru — a jednak nie ustępowały ze swych stanowisk, broniąc krwawo dostępu do Starego Miasta. Słowo „odwrót" dla tych obrońców nie było znane.

Nie sposób wymienić w reportażu wszystkich tych, którzy odznaczyli się bohaterską postawą, szerzej ujmuję to w swej obszernej pracy o Powstaniu. Podkreślić tu jednak należy bohaterską postawę strzelca Zbigniewa Ciemińskiego lat 17, (pseud. „Rusik II"), który razem z ojcem swym st. sierżantem Władysławem Ciemińskim (pseud. Rusik I) zdobyli CKM. w Wytwórni Papierów Wartościowych i użyli go z miejsca przeciwko nieprzyjacielowi, zajmując stanowisko na dachu P.W.P.W. Strzelec Rusik II został ranny, pełniąc funkcję taśmowego przy obsłudze CKM-u.

„KATAPULTY"

Już w pierwszych dniach Powstania dowództwo batalionu „Gozdawa" zorganizowało we własnym zakresie fabrykację broni, a przede wszystkim granatów. Inżynierowie i fachowcy dokonywali wprost cudów. Zgłaszali się ludzie z najrozmaitszymi pomysłami do fabrykacji różnej broni, aby zastąpić ogromne braki, jakie mieliśmy w tej dziedzinie. Co było znane w dawnych czasach wyciągano z lamusa. Między innymi produkowano t. zw. „katapulty". Broń ta polegała na tym, że butelki z benzyną wyrzucane były przy pomocy sprężyny gumowej. Po udoskonaleniu taka „katapulta" wyrzucała butelki nawet na odległość 150 mtr.



Róg ul. Jasnej i Moniuszki

WYPADY

W dniu 17 sierpnia wskutek „chwilowego" zastoju na redutach — oddziały zostały nastawione na ofensywę — celem opanowania terenów przedpola i rozpoznania sił n-pla. Z rozkazu kpt. Gozdawy wyruszyły dwa patrole bojowe: jeden pod dowództwem por. Roma w sile 1—6 z zadaniem rozpoznania Krakowskiego Przedmieścia i Trębackiej oraz zniszczenia placówki nieprzyjaciela przy ul. Koziej. Patrol ten udał się poprzez gruzy, dla zachowania ciszy zdjęli buty i tak dotarli boso aż do rogu ul. Trębackiej i Krakowskiego Przedmieścia, gdzie na ulicy swobodnie rozmawiali Niemcy w sile 10 ludzi. Patrol nasz zaatakował ich znienacka granatami i wycofał się pośpiesznie tą samą drogą. Na skutek tego nieprzyjaciel rozpoczął bezładną strzelaninę. Inny patrol wyłoniony z kompanii wypadowej kpt. Prusa (Dąbrowskiego Tadeusza) udał się w rejon Ministerstwa Rolnictwa i posesji, przylegającej do Placu Teatralnego odnosząc również sukces.

„GŁÓD" BRONI

Przytaczam meldunki, które ilustrują groźną sytuację na reducie Banku Polskiego.

Do

P. kpt. Gozdawy

Potrzebny jest natychmiast miotacz płomieni, ponieważ ten, który był przydzielony nie ma paliwa. Akcja podchodu została wskutek tego wstrzymana.

20.VIII.1944 r.

Ognisty kpt.

Do

P. kpt. Gozdawy

Jestem na reducie por. Piotra — sprawdziłem stanowiska. Bank się palí od strony północnej — główna hala. Między Bankiem a pałacem Radziwiłła są stanowiska npla, który usiłuje rozszerzyć pożar Banku.

20.VIII.1944 r. godz. 20

Ognisty kpt.

Do

P. kpt. Gozdawy

Proszę o amunicję do Kb. 100 szt. i 300 sztuk do PM i trochę granatów. Obsada ma tylko 3 granaty i po 5 sztuk do Kb. O ile nie otrzymam amunicji — nie ręczę abym mógł opanować sytuację całkowicie; mamy ogień z dwóch stron. Pożar Banku rozszerza się w kierunku naszych stanowisk. Niektóre czujki z pięter musiały się wycofać, bo zachodziło niebezpieczeństwo zawalenia się stropów.

20.VIII.1944 r. godz. 22

Ognisty kpt.

Do

P. mjr. Sosny

Melduję, że Bank Polski został ponownie opanowany przez nas o godz. 9.40. Na terenie Banku npla nie ma. Obecnie załoga umacnia stanowiska strzeleckie na ul. Bielańskiej. Na terenie Kanoniczek załoga zdobyła jeden RKM, dwie skrzynki z amunicją oraz jeden PM „Bergman", jeden Kb. i jeden granat, ponadto teczkę-listę oddziału npla i listę strat niemieckich oraz kierunek marszu (plan). Obecnie na całym odcinku mamy sytuację opanowaną.

21.VII.1944 r. godz. 10.10

Gozdawa kpt.

(doręcza łączniczka Tuszyńska)

W tym dniu Niemcy pod osłoną czołgów zabrali z Placu Teatralnego 36 zabitych i 5-ciu rannych Niemców. W czasie tej akcji zniszczono 3 czołgi niemieckie. Straty własne 2 zabitych i 11 rannych.

W dalszym ciągu odczuwano „głód" broni i amunicji. Zrzuty dokonywane kilkakrotnie na terenie Starego Miasta, były przysłowiową kroplą w morzu — w stosunku do naszych potrzeb. Poza tym wskutek silnej obrony przeciwlotniczej niemieckiej — alianci zaniechali zrzutów nad Starym Miastem, przenosząc teren zrzutów na „Kampinos". Wobec tego Żoliborz, mający kontakt z „Kampinosem" był wśród wszystkich dzielnic Warszawy najlepiej wyposażony w broń i amunicję.

W dodatku dzielnica ta położona była na uboczu daleko od arterii przelotowych, a tym samym mniej atakowana przez npla. Otrzymałem więc rozkaz wysłania oddziału specjalnego po broń na Żoliborz. Oddział ten został sformowany częściowo z 4-ej, i 5-ej i 6-ej kompanii oraz kompanii „Orląt". Zbiórkę dla tych oddziałów wyznaczyłem w bramie domu przy ul. Długiej 28, skąd po zorganizowaniu wprowadzeni zostali do włazu kanałowego, prowadzącego na Żoliborz. Dzień ten był bardzo niespokojny, nieprzyjaciel ostrzeliwał ul. Długą pociskami artyleryjskiemi, granatnikami i miotaczami min. Mimo to o godz. 22-ej zameldowałem już płk. Wachnowskiemu, że oddział w sile 94 ludzi pod dowództwem ppor. Jawora (Rot Roman) został wysłany na Żoliborz. Był to największy zwarty oddział, jaki kiedykolwiek w czasie Powstania dostał się na drugą stronę i w całości powrócił z bronią, mimo, że Niemcy kilkakrotnie zrzucili do otworów włazowych granaty. Po tej wyprawie wysłane były jeszcze dwie grupy mniejsze po broń. Dowódcami tych grup byli: ppor. Sokół i plut. Janusz. Musiano jednak zaniechać tej drogi, ponieważ Niemcy zawalili włazy kanałowe w okolicach Dworca Gdańskiego.

REDUTA MIODOWA — SENATORSKA

Załoga tej reduty pod dowództwem kpt. Prusa (Dąbrowskiego Tadeusza) dzielnie stawiała opór nieprzyjacielowi i uniemożliwiała Niemcom korzystania z arterii Krakowskiego Przedmieścia w kierunku na most Kierbedzia. Obrońcy musieli tu znosić ciężkie ataki niemieckie, lecz wytrwali do końca. Przysparzali oni Niemcom wiele strat, dzięki licznym udanym wypadom załogi na Krakowskie Przedmieście.

SZPITAL POWSTAŃCZY

W dniu 20 sierpnia wpłynął meldunek od adiutanta baonu ppor. Ogórka (Głowackiego Juliana), że kwatera baonu „Gozdawa" i szpital przy ul. Długiej 15 zostały zburzone przez bomby. Natychmiast udaliśmy się na miejsce z kpt. Gozdawą i kpt. Powierza, gdzie stwierdziliśmy, że cały budynek runął, przysypując szpital wraz rannymi, opieka lekarską z doktorem Piotrem (dr. Wojecki Stanisław) na czele. dr. Wojecki zorganizował od pierwszego dnia Powstania szpital przy ul. Przyrynek 1, który z powodu silnego obstrzału artylerii z Pragi został przeniesiony na ul. Długą 15. Szpital liczył wraz z personelem około 70 osób. Zginął tam również ks. kapelan Łukasz (Wiśniewski Adam). Sanitariuszki: Halina Namokel (pseud. Jaga), Maria Kozak (pseud. Kazia), Kotarska Ewa (pseud. Joanna), Cichocka Ewa (pseud. Joanna), Zwolińska Danuta (pseud. Bożenna).

Akcja ratunkowa nie dała pozytywnych wyników wskutek olbrzymiego pożaru. Ci, którzy byli na miejscu i pierwsi pośpieszyli z pomocą zostali zabici lub ranni od miotacza min. Zginął w akcji ratunkowej z-ca kwatermistrza por. Konstanty (Bülow Henryk), sanitariuszka Jagienka (Pieńkowska Danuta) oraz zostali ranni: por. Plater (Wiśniewski Aleksander), ppor. Klimont (Pieńkowski Aleksander) i maszynistka Zosia (Kostrzewska Stefania). Cały szpital baonu, tak pieczołowicie ochraniany, przestał istnieć. Tragiczny ten dzień nigdy nie będzie zapomniany przez tych, którzy oglądali te potworne rzeczy. Szpital posiadał wyraźne znaki Czerwonego Krzyża i barbarzyńscy lotnicy niewątpliwie dobrze widzieli je, bo tuż nad dachami szybowali. Nie wiem, czy kiedykolwiek będzie można odtworzyć listę zasypanych, bowiem w szpitalu tym pomieszczeni byli ranni z różnych odcinków walk.

Po zbombardowaniu szpitala i kwatery baonu zapalił się kościół Garnizonowy. W akcji gaszenia pożaru wzięli udział także księża i zakonnicy i tylko dzięki temu, że mieli w zapasie wodę w beczkach udało się pożar zlokalizować.

Po południu kwaterę baonu przeniesiono do więzienia przy ul. Daniłowiczowskiej.

NA NOWEJ KWATERZE

Po urządzeniu się na nowej kwaterze przy ul. Daniłowiczowskiej, sprowadzono kucharki i zarządzono przygotowanie strawy dla żołnierzy, którzy od 3-ch dni prawie nic nie jedli.

Nagle pojawiły się samoloty niemieckie i po okrążeniu reduty zaczęły bombardować redutę ratusza i więzienia.

Jedna z bomb spadła na lewe skrzydło więzienia, wskutek czego obwerała się klatka schodowa i zostałem zasypany wraz z kpt. Powierzą, kpt. Dąbrową i por. Stachem Na szczęście bomba nie wybuchła i po przebiciu ściany wydostaliśmy się na gruzy klatki schodowej. W tym momencie przez ten sam otwór od bomby w dachu wpadł granat, od wybuchu którego zginęli: śp. kpt. Powierza (Zwierzchosławski Tadeusz, kwatermistrz), śp. por. Stach (Strzednicki Stanisław, D-ca kompanii „Orląt") a kpt. Dąbrowa (komendant biura werbunkowego), został ciężko ranny w nogę, którą lekarze musieli niezwłocznie amputować. Po 22 dniach walki niektóre kompanie były tak zdziesiątkowane, że trzeba je było stale zasilać nowymi ludźmi. Dla orientacji podaję, że np. jedna z kompanii miała do 22 sierpnia 40 zabitych, 35 rannych, 9 zaginionych, 8 chorych na czerwonkę, a tylko 22 zdolnych do walki. Podobny stan był i w innych kompaniach. Biuro werbunkowe dosyłało nowych ochotników, lub też luki zapełniało się z oddziałów nie mających broni t. zw. „butelkowców".

Następnego dnia w więzieniu na ul. Daniłowiczowskiej wybuchł nowy pożar.

M. 22.VIII.1944 r. g. 20.15.

Do

Dowódcy Pododcinka

kpt. Gozdawy

Melduję, że pożar rozszerza się i w tej chwili obejmuje górne piętra. Akcji gaszenia nie można było należycie zorganizować, bo wszyscy cywile wynieśli się zupełnie. W więzieniu pustki. Odwodów nie ma. Od wybuchu bomby runęła druga klatka schodowa przy kuchni, nie można przyrządzić strawy. Wszyscy są głodni. Kucharki wysłałem na ul. Daniłowiczowską 10 i tam zarządziłem zorganizowanie kuchni. Na razie przenoszenie tam żywności jest niemożliwe. Starszego strzelca Sadowskiego wysłałem po broń i amunicję do kompanii 4 i 5, przy tym poleciłem mu zabrać pozostałych w kompanii „łazików", wtedy użyję ich do przenoszenia prowiantów. Zarządziłem ewakuację szpitala do kościoła O.O. Kapucynów na ul. Miodową. Dotychczas zostało ewakuowanych 40 rannych, pozostało jeszcze ośmiu. Przypuszczam, że do godziny 2-ej w nocy zdołam całkowicie ewakuować szpital wraz ze sprzętem (łóżkami, materacami, środkami i pomocami lekarskimi). Ogień przenosi się luftami bądź też otworami windowymi, aż do podziemia. Wskutek tego na salach szpitalnych pełno dymu. Mam wrażenie, że pożar się tam zlokalizuje... z uwagi na masywną konstrukcję budowlaną więzienia. Dowództwo będę dopiero ewakuował, po całkowitym usunięciu rannych. Pieczę nad magazynem ma ppor. Ogórek. Ja wraz ze sztabem i łącznikami będę nocował w tym gmachu. Stanowiska na reducie ratusza pozostają bez zmian i nie ma powodu do całkowitej ewakuacji. Meldunku ne mogłem wcześniej wysłać, bo byłem zajęty ewakuacją. Mam do dyspozycji 5 granatów z kompanii 4 i 5 i trochę ludzi. Po ewakuacji zwolnię tych 10-ciu, których pan Kapitan mi przysłał. Jeńców odesłałem do żandarmerii, ul. Długa 24. Są to jeńcy dawniejsi, którzy błagali się po zbombardowaniu więzienia i sami oddali się ponownie do niewoli. Kucharki z trudem przygotowują obiad, podmuchy gaszą ogień w piecach. Te kucharki, które nerwowo nie wytrzymały, odesłałem do kompanii por. Jara i tam poleciłem im zająć się opieką nad rannymi. Kpt. Dąbrowę ewakuowałem pierwszego i poleciłem lekarzowi roztoczyć nad nim szczególną opiekę. Jeśli są wiadomości o akcji na Dworcu Gdańskim, to proszę o podanie mi.

Ognisty kpt.



Przejście przez Aleje Jerozolimskie na ul. Kruczą

LISTA ODZNACZONYCH

Dnia 23 sierpnia ukazały się w rozkazie baonowym pierwsze odznaczenia:

Krzyż Virtuti Militari — śp. sierżant Wanacki Romuald.

Krzyż Walecznych

kpt. Gozdawa, d-ca pododcinka
kpt. Ognisty Lucjan, z-ca d-cy pododcinka,
kpt. Prus Tadeusz, d-ca reduty Miodowa,
kpt. Zdan (Majcherczyk Tadeusz), d-ca reduty Bank Polski,
śp. por. Stach (Strzednicki Stanisław), d-ca kompanii „Orląt",
por. Domański, z reduty Miodowa,
ppor. Ogórek, adiutant baonu,
st. sierż. Rusik I (Ciemiński Władysław),
plut. podchor. Dreher Tadeusz,
plut. podchor. Sokół z kompanii 5-ej,
śp. kpr. podchor. Cień (Elgas Zygmunt) z kompanii „Orląt",
kpt. Warszawiak (Modelski Witold) z kompanii szturmowej,
śp. st. strzelec z cenzusem Poręba (Konopka Żmigryder), z reduty Bank Polski,
st. strzelec Sadowski Marian, poczet d-cy,
st. strzelec Wadziński Czesław z kompanii 6-ej,
strzelec Rusik II (Ciemiński Zbigniew) z reduty Miodowa,
śp. strzelec Gańko Tadeusz z kompanii 6-ej
śp. Rachwalski Kazimierz z reduty Miodowa,
strzelec Warzewski Zdzisław z reduty Miodowa,
strzelec Filziński Feliks z reduty Miodowa.

Odznaczenia powyższe stanowią tylko cząstkę tych wszystkich, na piersiach których powinny zawisnąć Krzyże Walecznych.



(fot. J. Płożewski

Reduta „Matki Boskiej" przy ul. Długiej 29

REDUTA MATKI BOSKIEJ

24 sierpnia reduta znajdująca się w hotelu Polskim przy ul. Długiej 29 musiała, oprócz natarcia piechoty, powstrzymywać ataki czołgów nieprzyjacielskich i lokalizować pożary, które wybuchały raz po raz. Po uporaniu się z tymi trudnościami zorganizowałem przeciwnatarcie, w wyniku czego odzyskaliśmy poprzednie pozycje. W akcji tej współdziałał por. Jar i ppor. Żaba, mający swoje stanowiska po drugiej stronie ul. Długiej. Ostatecznie po krwawych wysiłkach atak nieprzyjacielski odrzucono. Por. Bartkowski na odzyskanych stanowiskach zauważył, że na stojącej ścianie całkowicie spalonej, będącej osłoną z lewej strony sławnego „otworu wypadowego", pozostał nietknięty obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, wobec czego wspólnie postanowiliśmy na cześć zwycięstwa nazwać to miejsce „Redutą Matki Boskiej" i od tego dnia aż do końca walk na Starym Mieście nazwa ta została utrzymana i potwierdzona rozkazem dowództwa. Dowódcą „Reduty Matki Boskiej" został mianowany por. Leszek (Kossowski Lesław) a jego zastępca ppor. Szczerba (Stankiewicz Jan), który dopiero co wrócił ze szpitala po wyleczeniu się z odniesionych ran na Woli.

Teren „Reduty Matki Boskiej" stanowiły dwa podwórka, jedno przylegające do Banku Polskiego, drugie wewnątrz posesji (Długa 27 i 29). Około 26 sierpnia na wsparcie reduty przydzielony został pluton „Parasola", który wydatnie przyczynił się do odrzucenia nieprzyjaciela.

„PLUTON LEŚNY"

25 sierpnia ppor. Jawor (Rot Roman) i plut. podchor. Sokół przyprowadzili z Żoliborza „pluton leśny", który, jak na nasze stosunki, był dobrze uzbrojony. Na Żoliborz dostali się z Puszczy Kampinoskiej drogą „przebojową", poprzez kordon nieprzyjaciela. Dzięki tylko temu, że natrafili po drodze na oddział Węgrów, przyjaźnie usposobionych do Polaków, udało im się w większej liczbie przedrzeć na Żoliborz, skąd jeden pluton przedostał się kanałami na Stare Miasto. Niewątpliwie pomoc tych dzielnych chłopców byłaby większa, gdyby Niemcy nie zawalili kanałów w okolicach Dworca Gdańskiego. Chłopcy „leśni" rekrutowali się przeważnie z elementu wiejskiego i w czasie walk na redutach: Miodowej, Banku Polskiego i „Matki Boskiej" zdobyli sobie wielką sympatię wśród towarzyszy broni na Starówce.

REDUTA RATUSZA — STRĄCONY SAMOLOT

Dnia 26 sierpnia napłynęły alarmujące meldunki od dowódcy reduty ratusza por. Kalinowskiego, który między innymi pisał: „W trosce o zorganizowaną redutę ośmielam się zwrócić uwagę, że przydział 4 granatów na całą dobę walki — to conajmniej niedostateczne zaopatrzenie i wytrącenie mi środków walki, co w takiej chwili prowadzi wprost do katastrofy. Należy niezwłocznie dać nową obsadę, gdyż obecna jest zdemoralizowana dużą ilością rannych i zabitych. Pałac Blanka otwarty. Ludzie w schronach pozasypywani. Natychmiast proszę o pomoc dla osłony ruin Blanka".

Jednak wśród załogi ratusza byli żołnierze, którzy nie załamywali się i pełnili służbę niemal za dziesięciu. Tak np. plut. podchor. dr. Septimus, pomimo stałego obstrzału trwał na posterunku na pierwszym piętrze wypalonych murów ratusza przez 12 godzin, uniemożliwiając sam jeden dojście nieprzyjacielowi do Kanoniczek.

W tym dniu strącony został samolot niemiecki przy pomocy RKM-u, którego obsługę stanowili podchor. Metz i strzelec Wiesław. Samolot ten ostrzelany został z reduty ratusza i runął na dach domu Spiessa ul. Hipoteczna 1 i doszczętnie spłonął.

OSTATNIE DNI WALKI

W ostatnich dniach walk na Starym Mieście „Reduta Matki Boskiej" atakowana była z ogromną siłą. Obok czołgów, masy piechoty usiłowały wszelkimi sposobami sforsować ul. Długą, aby dostać się na Plac Krasińskich. Załoga tej reduty stała murem, aby nie dopuścić wroga do placu, gdzie odbywała się ewakuacja rannych i ludności cywilnej do Śródmieścia. Dnia 28 sierpnia nieprzyjaciel obrzucił ciężkimi granatami z czołgów i z granatników „Redutę Matki Boskiej" i pod osłoną granatów dymnych zaczęła przenikać piechota większymi siłami, usiłując wtargnąć przez otwór w ścianie Hotelu Polskiego. Ppor. Żaba i podchor. Sokół z obsługą piata, umieszczeni z boku przy otworze przypuścili szturm w momencie, kiedy piechota niemiecka usiłowała się wedrzeć do reduty. Niespodziewane przeciwuderzenie z naszej strony zdezorientowało Niemców, szeregi nieprzyjacielskie załamały się i wycofały, pozostawiając 20 zabitych i dwa razy tyle rannych. Ppor. Żaba był bohaterem tego dnia, gdyż osobiście kierował akcją ogniową i obsługiwał karabin maszynowy. Nieprzyjaciel bez osiągnięcia zysków terenowych wycofał się na pozycje wyjściowe.

Pluton podchor. Sokoła miał duże straty, dosłownie wszyscy byli ranni. Ppor. Komar prowadząc swój oddział śmiertelnie ugodzony kulą w pierś runął tuż za „otworem".

Jego żona „Wisła" sanitariuszka, widząc to rzuciła się za nim, by go ratować lecz i ona ranna śmiertelnie zginęła niemal u boku męża. Ci co oglądali ten bohaterski zryw — opowiadali, że śmierć małżonków była jakby symbolem krwawej walki powstańczej Warszawy z bezwzględnym wrogiem hitlerowskim. Tak ginęły kobiety obok mężczyzn, dzieci obok starców, robotnicy obok adwokatów, lekarzy i inżynierów, młodzież szkół średnich i powszechnych obok akademików. Wszyscy jak jeden mąż stali na barykadach Starówki. Krew ich wsiąkła w gruzy ul. Długiej, Miodowej, Senatorskiej, Bielańskiej, Daniłowiczowskiej, Freta, Zakroczymskiej, Rybaki, Podwale i Nowego Miasta i pozostanie na zawsze symbolem nieugiętego ducha walki przeciwko wszelkiej przemocy wroga.

ŚMIERĆ KPT. GOZDAWY

W czasie uroczystości drugiej rocznicy Powstania Warszawskiego nadeszła smutna wiadomość, że w nocy z 4 na 5 lipca b. r. zmarł w sanatorium „General Hospital 16 British — Jerusalem" w Palestynie jeden z bohaterów walk na Starym Mieście, a potem w Śródmieściu, ś. p. kpt. Gozdawa, (Giżyński Lucjan) w wieku lat 37.

Po ciężkich bojach pod Lwowem w 1939 r., kpt. Gozdawa, jako dowódca kompanii nie poszedł do niewoli, lecz w przebraniu przedarł się do Warszawy i tu wziął udział w pracy konspiracyjnej. Pod pseudonimem „Zamarstynowski" został dowódcą II batalionu praskiego, obejmującego kompanię 4-tą, 5-tą i 6-tą. Na tym stanowisku dał się poznać jako oficer o wysokich walorach zawodowych i osobistych. Przeprowadzał w kompaniach szkolenie na szczeblu szkoły podoficerskiej, a następnie jako wykładowca w szkole Podchorążych wykazał niepospolitą wiedzę i zjednał sobie wśród żołnierzy całego batalionu dużą sympatię, a wśród kolegów — oficerów szczerą przyjaźń i braterstwo broni. W dniu wybuchu Powstania z rozkazu dowództwa stawił się wraz z całym batalionem do obrony Starego Miasta. Do dnia 9 sierpnia 1944 r. kpt. Gozdawa był jedynym czynnikiem dowódczym dyspozycyjnym na całym terenie Starego Miasta. W tym okresie podlegały mu wszystkie oddziały i on na swoich barkach dźwigał brzemię odpowiedzialności za przebieg walk. Dopiero po upadku Woli, Starówka została podzielona na pododcinki i wtedy kpt. Gozdawa otrzymał pododcinek obejmujący rejon ul. Miodowa, Senatorska, Plac Teatralny, Bielańska, Tłomackie, Przejazd, Długa do Placu Krasińskich.

Na jego pododcinku istniały sławne reduty nigdy przez wroga nie zdobyte jak: Bank Polski, ratusz, reduta „Matki Boskiej" i reduta Miodowa — Senatorska.

Reduty te chociaż poniosły bardzo krwawe straty, jednak zdołały zatrzymać wroga w ciągu 33 dni walk, broniąc dostępu do serca stolicy — Starówki. Po ewakuacji Starówki, schodząc jeden z ostatnich do kanałów, walczył w Śródmieściu aż do kapitulacji. Aczkolwiek nie poległ w obronie Stolicy, to jednak nadwyrężył swe wątłe zdrowie. W obozie niemieckim stan jego zdrowia znacznie się pogorszył. Nie mógł już wrócić do kraju, za którym tak bardzo tęsknił i w obronie którego walczył, gdyż został wysłany pod specjalną opieką lekarską do sanatorium w Palestynie. Niestety nie udało się lekarzom wyleczyć go. W czasie walk na Starem Mieście odznaczony został krzyżem Virtuti Militari i krzyżem Walecznych.

Odszedł od nas prawy żołnierz i bohater Starówki.

Cześć Jego pamięci!

Ognisty kpt.

W następnym numerze podamy fragmenty dalszych walk w Śródmieściu p.t. „Kanałami do Śródmieścia".

(Przedruk wzbroniony)



Barykada na Nowym Świecie



Niemcy atakują „Redutę Kanoniczek" i „Ratusza" na placu Teatralnym

(fot. J. Płażewski



Warta honorowa wystawiona w dniu 1 sierpnia 1946 przed ruinami szpitala powstańczego (ul. Długa 15) gdzie zostało przysypanych około 100 rannych i 15 sanitariuszek

PO ŚWIĘCIE NARODOWYM I PRZED KONFERENCJĄ



Nowa sława baletu paryskiego Roland Petit, spodziewany następca przedwojennego George Lifara

(korespondencja własna)

Paryż, w lipcu —

Święto narodowe 14 lipca upłynęło w Paryżu w nastrojach przedwojennych. Zgodnie z tradycją odbyła się pod Łukiem Tryumfalnym wspaniała defilada wojskowa, w której wyróżniała się swą doskonałą postawą Szkoła Politechniczna i — jak zwykle — entuzjazm publiczności wywołały dwa szwadrony Spahisów w czerwonych burnusach, jakby zrośnięte ze swymi małymi, nerwowymi konikami. Wedle dawnego obyczaju bawiono się i tańczono na ulicach, wieczorem zaś podziwiano olbrzymie fajerwerki i ognie sztuczne na Pont-Neuf, na Buttes-Chaumont, na wzgórzach Montmartre i w parku Montsouris. Śladem Paryża poszła cała prowincja francuska. Szczególny charakter nosiły uroczystości w Metzu, w których wziął udział Winston Churchill. Rząd francuski był reprezentowany przez ministra finansów — Roberta Schumana, Alzatczyka z pochodzenia.

Po dniu swego święta narodowego Paryż powrócił do normalnego życia. Jest ono bujne, jak dawniej, jeśli chodzi o jego przejawy intelektualne. Teatry, kina i lokale rozrywkowe są przepełnione. Wychodzi mnóstwo pism, które powróciły do swych dawnych, olbrzymich formatów, i kilku wydań dziennie. Gazeta codzienna kosztuje 4 franki, tygodniki — 8, 10 franków. Z nowych pism codziennych rozpowszechnione są: „Paris-presse", pismo informacyjne, i „Résistance" — organ okupacyjnego Ruchu Oporu. Z nowych tygodników ukazują się między innymi: „Les Etoiles" i „Une Semaine dans le Monde".

Powszednie życie Paryżanina ma dużo cieni, podobnie jak życie powojenne wszystkich krajów. Drożyzna jest duża. Wszystko na kartki, i gazety mają swoją codzienną rubrykę, informującą, co można danego dnia otrzymać w sklepach rozdzielczych. Nawet konina jest kartkowa, nie mówiąc już o ulubionych przez Paryżan szynkach (kilo 280 franków) i jagniętach.

Są także kłopoty mieszkaniowe. Trzeba być — jak dowodzi p. Marcel Picard, felietonista „Paris-presse" — ambasadorem cudzoziemskim, albo pogorzelcem, żeby otrzymać w urzędzie kwaterunkowym („Service du Relogement") mieszkanie. Wszelako za 200 tysięcy franków odstępnego można je znaleźć z łatwością. Trudności mieszkaniowe dają się zwłaszcza we znaki młodzieży studiującej, której napływ do Paryża jest bardzo wielki, a która — jak wszędzie studenci — nie ma pieniędzy. Pokoje w domach akademickich (w „Cité universitaire") kosztują miesięcznie 800 do 1500 franków, i — oczywista — jest ich za mało. W skromnych hotelikach Quartier Latin za pokoik bez światła trzeba zapłacić 100 franków dziennie, i tylko studenci uzyskują zniżkę, płacąc miesięcznie 2000 franków. Ale i taka suma bywa dla nich nadto wysoka.

Mimo te wszystkie kłopoty Paryżanie mają dość humoru. Ponadto roznamiętniają ich i pochłaniają wydarzenia polityczne, a zwłaszcza przygotowanie do Konferencji Pokojowej. W Pałacu Luksemburskim robi się generalne porządki na przyjęcie delegacji 21 narodów. Fakt, że Konferencja odbędzie się w Paryżu, napawa Paryżan dumą. Stolica Francji chce pozostać zawsze Ville-Lumière — miastem, przodującym Europie.

W. Dowgird



W wielkie upały – pociągowe konie paryskie noszą słomiane kapelusze

HUMOR FRANCUSKI

Na święto 14 lipca



Jeńcy niemieccy: Jeszcze przed dwoma laty rozstrzelalibyśmy ich za to...

(„Résistance" z dn. 15 lipca r. b.)

Redakcja „Robotnika" ogłasza konkurs literacki dla dzieci i młodzieży

Tematem konkursu jest „Wspomnienie dziecka z Powstania Warszawskiego". Może w nim wziąć udział młodzież do lat 16-tu, która uczestniczyła w Powstaniu, względnie przebywała w Warszawie podczas Powstania. Termin nadsyłania „wspomnień", których rozmiar może być dowolny, upływa z dn. 30 września r. b. Ogłaszając konkurs, „Robotnik" pisze: „Znane są bohaterskie czyny dzieci, walczących na ulicach i barykadach Warszawy... Zasługują one na upamiętnienie. Opisane i zebrane powinny się stać ważkim czynnikiem wychowawczym w życiu młodego pokolenia"...

List do Redakcji

ZAGADNIENIE ODPOWIEDZIALNOŚCI

W Nr 3 „Tygodnia" wydrukowałem felieton p. t. „Imponderabilia". W związku z nim p. A. R. nadesłał do naszej redakcji list p.t. „Liberalizm moralny", który ogłosiliśmy w Nr 4. W liście czytamy:

„Nie podobał mi się felieton Jerzego Wyszomirskiego. Nie dlatego, abym widział w nim złą wolę autora. Przeciwnie, widzę w nim bardzo dobrą wolę i zdrowy odruch uczciwego Polaka, który protestuje, kiedy się chce jego naród i jego samego obciążyć ohydą mordów kieleckich. Słuszny, zdrowy odruch. Bodaj tak wszyscy Polacy czuli i wołali... Ale Wyszomirski... nie widzi jednak odpowiedzialności narodu, każdego narodu, za pewne zbrodnie indywidualne... Czy i kiedy naród jest odpowiedzialny za indywidualne zbrodnie swych członków? Gdzieś już coś się o tym mówiło.. aha, Norymberga... Norymberga... Nie wolno osłabiać poczucia odpowiedzialności narodu za zbrodnie kieleckie, bo stoczymy się po tej równi, po której od setek lat staczał się naród niemiecki"...

Skomplikowane i trudne zagadnienie odpowiedzialności wysunął p. A. R. Wymagałoby ono wyczerpującej dyskusji. Niesposób ją prowadzić, gdy się rozporządza kilkudziesięciu wierszami druku. Muszę jednak w kilku słowach odpowiedzieć, aby wyjaśnić moje stanowisko.

1. Leitmotywem felietonu mego były ewangeliczne słowa, powtórzone przez Żeromskiego w „Ludziach bezdomnych": „Człowiek jest to rzecz święta, której krzywdzić nikomu nie wolno". Takie samo bezkompromisowe stanowisko i ja zajmuję.

2. Zakończenie mego felietonu brzmiało: „Poczucie godności osobistej, szacunek dla godności w każdym innym człowieku, zmysł **odpowiedzialności**, odwaga cywilna, wzajemne zaufanie — oto imponderabilia, które odgrywają również rolę w kształtowaniu się t. zw. pojęć demokratycznych". Z powyższego wynika, że nie uchylam się od odpowiedzialności. Przeciwnie — poczucie odpowiedzialności uważam za czynnik demokratyzmu. Ale zwykłem odpowiedzialności różniczkować, bo tego wymaga prosta sprawiedliwość, i myślę (tak samo chyba myśli prawo), że odpowiedzialność powinien ponosić istotny sprawca. Nie wolno przerzucać odpowiedzialności na innych. „O, rękę karaj, nie ślepy miecz!" — wołał poeta. Tylko za dawnych, niedemokratycznych, monarchicznych czasów istniało na dworach królewskich stanowisko „chłopca do bicia": gdy królewicz przeskrobał, bito nie jego, lecz owego chłopca. Ślusarz zawinił, a kowala powieszono — taką zdrową myśl wyraża mądrość ludowa.

3. Nie uważam tedy, by za zbrodnię kielecką mógł ponosić odpowiedzialność naród polski. Winni ją ponieść inspiratorzy, sprawcy, zbrodniarze i łotry. Naród może ich tylko piętnować i odgrodzić się od nich, co też uczynił. Sądzę, że analogia między nami a Niemcami i Norymbergą jest zbyt dowolna. Nie stoczymy się po tej równi, po jakiej się staczał naród niemiecki. Zresztą, co się tyczy Niemców, głęboki znawca prawa prof. E. St. Rappaport w swej ostatniej książce p. t. „Naród zbrodniarz", acz obciąża Niemców zbiorową odpowiedzialnością, uważa jednak, że i ten naród można będzie na nowo wychować. Ponadto przypuszczam, że proces w Norymberdze dowodzi, iż — zgodnie z obyczajami demokratycznymi — szuka się istotnych, rzeczywistych sprawców i winowajców.

4. Myślę wreszcie, że t. zw. „odpowiedzialność zbiorowa", odpowiedzialność całych narodów, jest przede wszystkim wynalazkiem faszystowskim, hitlerowskim, nie demokratycznym.

Jerzy Wyszomirski

Kronika kulturalna

CORAZ NUDNIEJSZE staje się poznańskie „Życie Literackie". Czy kanikuła temu winna, czy może jego redaktor — Wojciech Bąk — przestał się kręcić? Nie. Dowiadujemy się, że dostał oto nagrodę literacką miasta Poznania. Jako czwartemu z kolei laureatowi miast polskich, składamy mu gratulacje, odrzucamy od siebie myśl, jakoby nagrody miały tę właściwość, że pociągają za sobą spoczynek na laurach.

STANISŁAW CIESIELCZUK był jednym z najwybitniejszych poetów grupy „Kwadryga", która powstała przed 15-tu laty w Warszawie jako przeciwstawienie się „Skamandrowi". Członkami jej byli: St. Ryszard Dobrowolski, Konstanty J. Gałczyński, Aleksander Maliszewski, Stefan Flukowski, Władysław Sebyła, Włodzimierz Słobodnik i inni. Ciesielczuk był głębokim i subtelnym poetą. Życie miał ciężkie. Urodził się w chacie chłopskiej r. 1906. Uczył dzieci w szkole powszechnej. Imał się dziennikarstwa. Najstraszniejsze było to, że trawiła go gruźlica. Lata okupacji spędzał na wsi w Lubelszczyźnie i, ostatnie, w Warszawie. Podczas Powstania słuch o nim zaginął. Były pogłoski, że zasypało go w jakiejś piwnicy przy ul. Nowogrodzkiej. Obecnie prof. Julian Krzyżanowski w Nr. 3 „Warszawy" z dn. 28 lipca podaje do wiadomości, że osamotniony Ciesielczuk umarł w Hrubieszowie 26 listopada 1945 r. Jest to wielka strata dla naszej poezji. „Sześć tomików wierszy Ciesielczuka — jak słusznie pisze Krzyżanowski — wyznacza mu jedno z najwybitniejszych miejsc w drugim pokoleniu liryków międzywojennych, pokoleniu poskamandrowskim". Krzyżanowski stwierdza z żalem, że o Ciesielczuku zapomniano, że nawet śmierć jego przeszła bez echa. Niestety, tak bywa na świecie. A Ciesielczuk odznaczał się przytem niezwykłą skromnością i nigdy nie umiał się reklamować, jak to np. doskonale robi jego dawny towarzysz z „Kwadrygi" — Gałczyński.

„TYDZIEŃ" otrzymał swoją pierwszą notę prasową w „Dziś i Jutro" (Nr. 29 z dn. 28 lipca), które uważa, że pismo nasze „ma widać ambicje stania się drugim „Przekrojem" — rodzajem barwnego magazine'u z lekką nutką sensacji, ale niestroniącego od poważnej publicystyki". Nie mamy zamiaru ani stawać się czymś drugim, ani stwarzać komuś „konkurencji", jak myśli „Dziś i Jutro". Chcemy być sobą.

W OGROMNYM reportażu z egzekucji Greisera „Ilustrowany Kurier Polski" (Nr 197) podaje wszystkie szczegóły śmierci i agonii powieszonego, z lubością rozsmakowując się w t. zw. makabrze. Czytamy: „Ciało skazańca spada z podwyższenia i zawisa w próżni. Sznur kręci się wraz z ciałem, które się porusza w konwulsyjnych drgawkach. Te drgawki będą się powtarzały systematycznie przez minut siedemnaście... Tłumy zachowują pełną godności postawę w obliczu majestatu śmierci". „Systematyczne drgawki" i „majestat śmierci", dowodzą, że autor reportażu nie ma najmniejszego poczucia odpowiedzialności za słowo pisane.

St. Łatka

CO SIĘ DZIEJE ZE SZKŁEM?

Jeżeli chodzi o produkcję szkła, posiadamy wszystkie możliwości, aby być całkowicie samowystarczalni. Nawet przy wzmożonym zapotrzebowaniu w związku z odbudową zniszczonych budynków.

Huty szkła w Polsce Centralnej, oraz nasze zakłady tego rodzaju, gęsto rozsiane na Ziemiach Odzyskanych posiadają potencjał produkcyjny kilkakrotnie wyższy od poziomu produkcji przedwojennej, a tak częste w innych gałęziach przemysłu braki surowcowe i maszynowe nie wchodzą tu w rachubę. Na rynku powinno być więc dużo taniego szkła, przede wszystkim okiennego, najłatwiejszego do wytworzenia.

Tymczasem dzieje się rzecz dziwna. Tysiące mieszkań w miastach, budynków mieszkalnych i gospodarczych na wsi zionie czarnymi otworami zabitych deskami, dyktą i tp. materiałami. Okien tramwaje i pociągi w dalszym ciągu nie mogą doczekać się oszklenia. Na wsi szkło stało się artykułem wymiennym, za który chłop nasz przepłaca oddając spekulantom za bezcen swoje wytwory.

A produkcja hut szklanych spada. Spada stale od roku zeszłego i jakkolwiek jeszcze przewyższa produkcję przedwojenną, nie zaspakaja popytu na ten pierwszorzędnej wagi artykuł. Z 3600 ton w ostatnim kwartale zeszłego roku zeszliśmy na 2600 w drugim kwartale roku bieżącego. Wytwarzamy dziś lub potrafimy wytwarzać szlachetne gatunki szkła: lustra, kryształy, ale szkła okiennego nie tylko nie jest więcej, lecz na odwrót, mniej.

Ograniczenie produkcji było zwyczajem kartelów kapitalistycznych. Celem było — utrzymanie cen i wysokich zysków. Dziś to jest niemożliwe, nasuwa się więc pytanie: dlaczego? I na to pytanie musi być jak najszybciej znaleziona odpowiedź.



Byrnes z małżonką udaje się na Konferencję Pokojową do Europy

Z Polski i ze świata

KONFERENCJA POKOJOWA W PARYŻU nie przystąpiła jeszcze do rozpatrywania spraw traktatów pokojowych z b. satelitami Niemiec, gdyż nie opracowano dotąd regulaminu obrad. Sprawy proceduralne zajmują wiele czasu. Ustalono, że przewodniczyć na Konferencji będą kolejno przewodniczący delegacji Wielkiej Czwórki, przy czym przewodniczący będą się zmieniali co trzy dni. Obecnie przedmiotem sporu jest kwestia uchwał, które według wniosku angielskiego winny zapadać zwykłą większością, a według wniosku radzieckiego większością $^{2}/_{3}$ głosów.

W STOSUNKACH POLSKO-CZECHOSŁOWACKICH nastąpiło pewne odprężenie. Według oświadczenia posła polskiego w Pradze ministra St. Wierbłowskiego zawarto szereg umów gospodarczych, uruchomiono bezpośrednią komunikację kolejową Warszawa—Praga. Minister Wierbłowski ma nadzieję, że uda się również pomyślnie rozstrzygnąć sprawy graniczne.

PLAN PODZIAŁU PALESTYNY został odrzucony przez Egzekutywę Agencji Żydowskiej, obradującej w Paryżu. Przedstawiciel Żydów amerykańskich oświadczył, że w r. 1947 około 100.000 Żydów opuści Polskę i uda się do strefy amerykańskiej w Niemczech, skąd zostaną przetransportowani do Palestyny.

SPRAWA PERSKA znów będzie przedmiotem sporu w Radzie Bezpieczeństwa lub na forum O.N.Z., gdyż wojska angielskie naruszyły suwerenność Persji, wysadzając w porcie Basra kontyngent wojsk, dla zabezpieczenia terenów naftowych eksploatowanych przez angielskie towarzystwa

Navigare necesse est...

Obrzymi rozwój komunikacji lotniczej, nie tylko ludzie, ale i kurczęta latają samolotami — nie spowodował zastoju w innych rodzajach transportu.

Stara maksyma łacińska: „vivere non necesse, navigare necesse est' (można nie żyć, lecz trzeba żeglować) nie straciła na wartości. I oto w rok po wojnie rozpoczął się wyścig w dziedzinie budowy i usprawnienia przewoźnictwa morskiego. Przemożne stanowisko Stanów Zjednoczonych, które wykorzystując warunki wojenne, przeszło trzykrotnie wzmocniły swój tonaż, nie odpowiada innym narodom, nawet złączonych węzłami najściślejszej przyjaźni.

Za przewóz obcym okrętom trzeba płacić w dewizach, mozolnie zdobywanych wysiłkiem eksportowym każdego państwa. Nic dziwnego więc, że wszystkie niemal państwa morskie świata przystąpiły do budowy własnych statków. Francja, Holandia, Belgia, Norwegia, Dania, Chile, ba nawet maleńka Islandia zamówiły ponad 2 miliony ton nowych okrętów w stoczniach amerykańskich i angielskich. Budują Włochy i Szwajcaria, budują małe republiki środkowo-amerykańskie. Wiele z tych państw zamówiło ponad 100 tys. ton, nie licząc zamówień w stoczniach krajowych.

W tym wyścigu wszystkich bander świata do uwolnienia się od haraczu na rzecz dotychczasowego głównego przewoźnika — Stanów Zjedn. — brakuje jednak Polski... O ile zaś przed wojną, posiadając maleńkie wybrzeże, nie mieliśmy wielkich ambicji morskich, to dziś posiadanie szeregu portów i związana z tym perspektywa poważnego handlu morskiego nakłada na nas obowiązek dotrzymania kroku innym narodom na tym polu.

PRZEDWYBORCZE ROZMOWY *polityczne*

Premier Osóbka - Morawski w charakterze Przewodniczącego CKWPPS wystąpił na łamach „Robotnika" z drugim i trzecim z rzędu artykułem. Drugi został zatytułowany: „Dlaczego blok wyborczy jest niezbędny dla jedności narodu?".

W artykule tym premier pisze:

„Twierdzę stanowczo i kategorycznie, że w obecnej sytuacji Polski, tej bezcennej dla nas jedności narodowej nie osiągniemy bez bloku wyborczego".

Na to inż. B. Rudziński w „Gazecie Ludowej" odpowiada.

„Nie możemy zrozumieć, dlaczego rządzące obecnie partie polityczne uważają wspólny blok wyborczy za jedyny i konieczny warunek jedności narodowej, normalizacji stosunków, osiągnięcia spokoju wewnętrznego i powszechnego dobrobytu, uniknięcia strat materialnych, ofiar i cierpień, wzmocnienia stanowiska Polski na terenie międzynarodowym i tak dalej. To niezrozumienie nurtuje wśród członków i sympatyków Polskiego Stronnictwa Ludowego".

PREMIER: „Każdy rozsądny polityk polski i każdy uczciwy polityk zagraniczny, który chciał zgłębić nasze stosunki polityczne (np. delegacja parlamentarzystów brytyjskich) uznał blok wyborczy w Polsce za konieczność."

GAZETA LUDOWA: „Kto wynalazł ten uniwersalny środek i sposób na wszystkie dolegliwości społeczne i dlaczego pójście do wyborów z własną listą ma być poczytywane za obalenie i przekreślenie naszych zdobyczy, demokratycznych, które są nam drogie?"

PREMIER: „P. Wicepremier Mikołajczyk chciał odegrać rolę „wodza" narodu i zagarnąć całą władzę dla siebie, a tymczasem nie może sobie nawet poradzić z kierownictwem ruchu ludowego, który od czasu jego przyjazdu do Kraju przechodzi najostrzejszy kryzys."

SZTANDAR LUDU (naczelny organ P.S.L.):

„Próby podziału PSL nie doprowadzają do niczego. Stronnictwo nasze jest zespolone i jednolite. Polityka NKW PSL i Prezesa Stronnictwa jest całkowicie zgrana z postawą, wolą i nastrojami wszystkich naszych członków.... Panuje całkowita harmonia i zaufanie między Prezesem Mikołajczykiem a całością PSL.

GAZETA LUDOWA: „Wysuwanie wspólnego bloku wyborczego może i powinno być traktowane jako jeden z dezyderatów, ale nigdy jako warunek konieczny, jedyny, wyłączny i bezapelacyjny zjednoczenia narodowego. Wystarczy, jeżeli ustalimy i zgodzimy się jednogłośnie, że do wyborów pójdziemy pod hasłem nieodwracalności dotychczasowych przemian i fundamentów, na których wznosimy piętra gmachu naszej demokracji w imię Polski Ludowej i że będą one wolne, czyste, pozbawione elementów gwałtu i oszustwa."

PREMIER: „Demokracja w Polsce jest taka, na jaką nienormalne jeszcze całkowicie, powojenne warunki zezwalają. Jeśli chcemy bardziej znormalizować nasze polskie stosunki, to winniśmy przede wszystkim potępić wszystko, co wprowadza zamieszanie, anarchię i defetyzm, co utrudnia pracę rządowi nad odbudową Kraju, co nie sprzyja zjednoczeniu narodu.

Mylą się ci, co sądzą, że obóz rządzący przez własną słabość dąży do bloku wyborczego. Obóz wbrew nadziejom naszych przeciwników politycznych krzepnie z każdym dniem i ma dostateczną siłę, aby przeciwstawić się i unieszkodliwić wszelke awanturnictwo. Mylą się i srodze zawodzą ci, co spodziewają się jakichś zasadniczych zmian po wyborach, lub, co gorsza, jeśli liczą na takie zmiany w drodze wojny domowej czy wojny ogólnej. Przemiany, które się w Polsce dokonały, są przemianami trwałymi, które można uzupełniać i korygować na lepsze, tylko w atmosferze pozytywnej pracy, spokoju wewnętrznego i jedności narodu."

O co więc chodzi?

W trzecim z rzędu artykule p.t. „Główne przeszkody na drodze do jedności narodu" Premier stwierdza:

1. „w podstawowych problemach polskiej polityki zagranicznej i wewnętrznej nie ma właściwie zasadniczych różnic między sześcioma partiami, działającymi w Polsce.

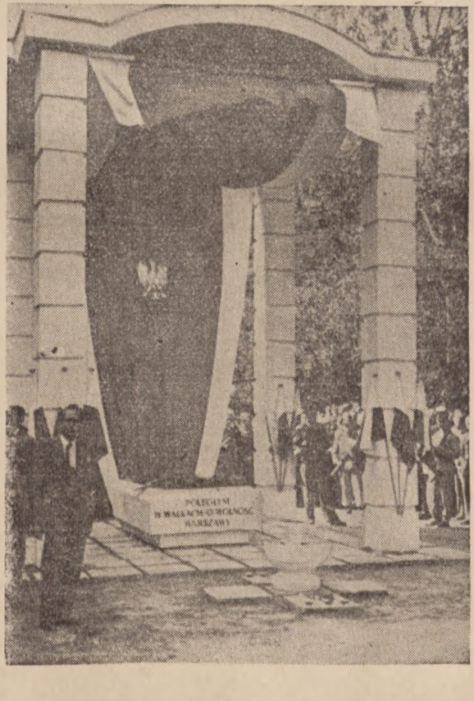
2. istnieją tylko różnice natury psychologicznej, a to przez pomawianie obozu rządzącego, że albo chce z Polski zrobić siedemnastą republikę sowiecką, albo wprowadzić dyktaturę proletariatu."

Premier odpowiada:

„17 republiki być nie może, ponieważ nie ma ona zwolenników w Polsce i nie miałby jej kto z Polaków zaprowadzić. Kto nie pragnie utraty niepodległości i suwerenności Polski, ten niech nie wywołuje wilka z lasu, niech nie judzi przeciwko nowej Polsce, jej polityce zagranicznej i jej sojusznikowi ZSRR, który pomógł wyzwolić nasz kraj i w razie nowego zagrożenia realnie może pomóc go ochronić przed agresją niemiecką."

„Tych, co... straszą dyktaturą proletariatu, warto ostrzec: nie wywołujcie wilka z lasu. Dyktatury w Polsce na pewno nie będzie, gdy będzie spokój w kraju, znikną bandy i krwawe rozprawy, gdy zapanuje prawo i pozytywna praca wszystkich obywateli."

DRUGA ROCZNICA Powstania Warszawskiego



(fot. J. Płażewski)

Mauzoleum poległych w bojach o Warszawę na cmentarzu wojskowym na Powązkach



(fot. J. Płażewski)

Towarzysze broni — poległym kolegom



Składanie wieńców przy mauzoleum

(fot. J. Płażewski)

Wiadomości sportowe

W Katowicach odbył się międzyokręgowy mecz lekkoatletyczny Śląsk — Kraków. Spotkanie zakończyło się nieoczekiwanym zwycięstwem Śląska 113 : 110 pkt. W drużynie Krakowa zabrakło dwóch czołowych zawodników Piaskowego i Puzi. Po dłuższej przerwie startował Kozubek w rzucie młotem. Wynikiem51.02 ustanowił on nowy rekord Polski w młocie. Wynik Kozubka jest jednym z najlepszych wyników w Europie. Hajducka w Katowicach przebiegła 100 m. w czasie 12,8 sek. Rewelacją w swoim rodzaju był Jurzak, który w biegu na 5 km. uzyskał najlepszy dotychczasowy czas w Polsce — 15.52. W trójskoku Hoffman skoczył 14.06, zajmując pierwsze miejsce w klasyfikacyjnej tabeli.

W Warszawie mistrzostwa lekkoatletyczne wypadły blado. Staniszewski 800 m. przebiegł w czasie 2.00,2, a na 1500 m. zrobił czas gorszy od własnego rekordu tegorocznego —4.15. Gierutto w biegu na 110 m. przez płotki poprawił swój własny wynik o 2 dziesiąte sekundy, uzyskując czas 16,4 sek. W dysku natomiast Gierutto miał 42,83.

W Łodzi mistrzostwa lekkoatletyczne wypadły bardzo dobrze. Okrasą były trzy gracje: Wajsówna, Moderówna i Słomczewska. Zawodniczki te uzyskały szereg doskonałych wyników. Wajsówna zajęła 5 pierwszych miesc, mając następujące wyniki: dysk — 37.45, pchnięcie kulą — 11.16, oszczep — 28.25, skok wzwyż — 135, bieg 80 m. przez płotki — 15,2. Wyniki Moderówny są następujące: 60 m. — 8sek., 100 m. — 13 sek., 200 m. — 27,3, skok w dal z rozbiegu 4.97, skok wdal z miejsca 2.31. Z męskich wyników na uwagę zasługuje czas Lipowskiego na 100 m. — 11, oraz wynik Półtoraka w biegu na 10 tysięcy m. — 33.51,6. W punktacji ogólnej mistrzostwa zokończyły się zwycięstwem DKS 361 pkt., przed ŁKS 272 pkt. i Borutą ze Zgierza 82 pkt.

W Bożej Górze jak i w Jeleniej Górze grała drużyna ZZK Łódź. Odniosła dwa kolejne zwycięstwa, bijąc miejscowych piłkarzy 5:0 i 7:1.

W mistrzostwach piłkarskich Warszawy przy 12 tysiącach publiczności drużyna Grochowa pokonała Polonię 2:0 (1:0). Marymont warszawski przegrał w Zgierzu z Borutą 2:7.

W Bytomiu miejscowa Polonia zremisowała z czeską drużyną Sleską Ostrawą 3:3.

Walasiewiczówna postanowiła udać się samolotem z Ameryki do Sztokholmu by startować w barwach Polski na mistrzostwach Europy w Oslo. Przyjazd Walasiewiczówny oczekiwany jest 13 b.m.



STEFAN JARACZ

Dnia 12 sierpnia r. 1945 umarł Stefan Jaracz. W pierwszą rocznicę jego śmierci pozwolę sobie powtórzyć to, co napisałem w roku zeszłym, bezpośrednio pod wrażeniem jego przedwczesnego zgonu.

•

Widywałem Jaracza w wielu sztukach, i to w sztukach nasyconych taką głębią konfliktów, że dorównałyby niemal swą problematyką tragedii antycznej: takim ,np. był „Judasz“ Rostworowskiego. Widywałem Jaracza i w rolach groteskowych, np. w „Szwejku“. Podziwiałem rozpiętość jego artyzmu, jego biegunowość — „polarność“, jakby powiedział Krasiński — w której Jaracz ze swobodą genialnego aktora umiał się przerzucać od znaku „plus“ do znaku „minus“, jeśli chodzi o postaci przez siebie odtwarzane; umiał zatracać swoją indywidualność, wcielając się w każdą rolę; umiał z monolitu bohatera - nadczłowieka lub bohatera - zbrodniarza wydobyć pierwiastki ludzkiej powszedniości, budząc dzięki temu w nas ludzkie do niego współczucie; i umiał z przyjemnej, pospolitej, komicznej nawet figury wykrzesać człowieczeństwo. Wszystko to mógł czynić dlatego właśnie, że posiadał olbrzymią indywidualność, w której granicach mieścił się wszystek człowiek.

Ale z bogatego repertuaru Jaracza przychodzi mi na pamięć nie „Judasz“, nie „Szwejk“, nie „Szczęście Frania“, nie „Samson i Dalila“, lecz przede wszystkim „Moralność pani Dulskiej“, którą widziałem w warszawskim Teatrze Aktora na parę lat przed wojną. Dekoracje były Daszewskiego: uwydatniały one parodystycznie styl epoki — mieszczańską, kołtuńską secesję. Reżyserowała „Moralność“ Perzanowska, i ona grała Dulską. Pamiętam jej kapelusz z piórkami, w którym zamknęła się dusza, raczej bezduszność dulszczyzny. Nieszczęśliwa „kuchta“ Hanka — jakże piękna i jak skrzywdzona — objawiła się w ujęciu Leny Żelichowskiej. Jaracz odtwarzał Dulskiego, który w sztuce nic nie robi, nic nie mówi, tylko tkwi wciąż w życiowych brudach domu Dulskich, jako symbol poniżenia Człowieczeństwa, bezsiły, nędzy moralnej, paraliżu duchowego, budząc w nas całą skalę uczuć — od odrazy do sympatii. Pamiętam sztuczkowe spodnie Jaracza-Dulskiego, bardzo długie, zwijające się u dołu w fałdy, tak samo konieczne u niego, jak piórka na kapeluszu jego żony i władczyni. I jego surdut za kolana, i wzorzystą kamizelkę, i tę twarz czyli maskę ludzką, na której czole zmarszczki wznoszą się w górę, powieki się przymykają, wąsy są w dół opadnięte, i całe oblicze wyraża jakieś smutne, głupio — ludzkie, bolesne zdumienie. Nad czym? Nad tym zapewne, co si dokoła strasznego dzieje. Jaracz - Dulski, to był niby „głupiec w Chrystusie“, niby „biedaczyna boży“. Tak się przypomina Jaracz, i gdy się nad tym przypomnieniem zastanawiam, myślę: może mi się tak przypomina dlatego, że Dulski w istocie jest wiekuistym, niemym wyrzutem sumienia, zawsze i wszędzie nieśmiertelnym.

Jerzy Wyszomirski

Czy wiecie że...

Niektórzy okulary noszą dla wzroku, a inni, żeby ich **prawda** w oczy nie kłuła.

Człowiek z suknią wytartą daleko nie zajdzie, a z **wytartym** czołem prawie wszędzie.

Momus

ANATOL WINOGRADOW

POTĘPIENIE PAGANINIEGO

(Fragment powieści, która wkrótce ukaże się nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Wiedza“).

...I oto pewnego razu signor Paolo Stradivarius bardzo się przestraszył, ujrzawszy jak z drzewa przez okno zeskoczył do jego pokoju czarnowłosy obwieś, podobny do małpy.

— Signore, wybaczcie mi na Boga! — zawołał chłopiec. — Pukam już trzy godziny, lecz nikt mi nie otwiera waszej bramy.

Signor Paolo, kulejąc podbiegł do okna i chwycił laskę. Zamierzał uderzyć chłopca, sądząc, że to złodziej. Wówczas mały Paganini uklęknął.

— Błagam was, signore, nie bijcie mnie! Wystarczy, że bije mnie mój ojciec, nie bijcie mnie! Chciałem się tylko dowiedzieć od was, jak robią skrzypce panowie Stradivariusowie.

Sinior Paolo zmarszczył się.

— Skąd przyszedłeś, zwariowana małpko i kto opowiadał ci bajdy o skrzypcach?

— Pochodzę z Genui, — odparł chłopiec. — Jestem synem signora Antonia Paganiniego. Ojciec uczył mnie grać na skrzypcach. Kocham skrzypce, aczkolwiek ojciec czynił wszystko, żebym przestał je kochać.

— A ja myślałem, że jesteś złodziejaszkiem — rzekł signor Paolo.

Starzec przymknął powieki, poczem, jak gdyby zmuszając się do przebudzenia zwrócił się do Nicola: — A zatem, chłopcze, idź do hrabiego Cosio. Tego durnia skrzypce wprawiają w obłęd. To on rozpuszcza plotki o tym, że w domu Stradivariusa uprawiano rzemiosło. Nie dawaj wiary temu, co hrabia Cosio rozpowiada o naszej rodzinie, gdyż to stary maniak i łgarz, ale skrzypiec ma wiele i jest niezłym człowiekiem...

Żeby nie komplikować sytuacji, chłopiec pośpiesznie czmychnął w otwarte drzwi i pobiegł po bruku...

...Zbliżał się już do dwupiętrowego domu hrabiego Cosio, gdy nagle o mało nie upadł od uderzenia w ucho. Ktoś chwycił go za ramiona i zaczął bezlitośnie nim potrząsać. Podniósłszy oczy, chłopiec ujrzał wściekłą twarz signora Antonia. — Toś ty tutaj, bękarcie! Toś ty tutaj, złodzieju rodzinnego szczęścia! Jaki diabeł nosi cię po ulicach, gdy ja troszcząc się o ciebie, dwa dni już staram się o widzenie z hrabią Cosio? Zgodził się dziś słuchać twej gry, a ciebie, jak na złość, poniosło, diabli wiedzą dokąd. Jeżeli będziesz się włóczył bez pozwolenia po ulicach... Stali obok okratowanego ogrodzenia. Signor Antonio zastukał. Odźwierny otworzył drzwi. Stary Paganini, nieco podskakując i tańcząc, ukłonił się odźwiernemu z takim szacunkiem, jakgdyby od tego człowieka bardzo wiele zależało i poprosił go, by zaanonsował panu hrabiemu o przybyciu jego uniżonego sługi, Paganiniego z chłopcem, cudownym skrzypkiem.

Nicolo drgnął i jak zwierzątko błysnął oczami, spoglądając spodełba na ojca. Cudowny skrzypek! Nagle wydało mu się, że poszły w zapomnienie szturchańce ojcowskie i krzywdy. Zapragnął podbiec do ojca i powiedzieć mu, że nie trzeba go wcale bić, że sam zrobi wszystko, co należy, bo bardzo kocha muzykę i skrzypce, a po chłoście, przeciwnie, za każdym razem zupełnie już nie może grać... Ale ujrzawszy służalczy i nędzny uśmiech starca, chłopiec zrozumiał, że dla tego człowieka nie istnieją cierpienia Nicola, że stary traktuje syna, jak rzecz, jak instrument, który ma przynieść mu zysk, jak maszynę, która musi zapewnić murowaną wygraną. Serce małego Paganiniego ścisnęło się. Nigdy dawniej nie widział tak przebiegłego i podłego uśmiechu na twarzy ojca.

Ojciec nie krępował się obecnością syna. Starzec nie zauważył nawet uważnego spojrzenia małego człowieka, który stał obok. Ojciec nie cenił Nicola więcej, niż kataryniarz papugę albo Sabaudczyk małpę. Papuga ta powinna wkrótce wyciągnąć kataryniarzowi najszczęśliwszy los. Po chwili ojciec z synem weszli do wielkiego, pustego salonu, gdzie przy niedużym stole siedział starzec z orlim nosem i okrągłymi, żywymi oczami drapieżnego ptaka. Miał on na sobie białą perukę z lokami, ciemno-malinowy surdut i bardzo brudny koronkowy żabot. Pożółkłe mankiety, przytwierdzone do rękawów surduta i obciskające szczupłe suche ręce, były podobne do starych szmat. Czas wyrył zmarszczki na jego twarzy, której wady naturalne pogłębiły się pod wpływem lat, uwypuklenia stały się bardziej wyraźne, i jak trwały, nie ulegający zniszczeniu zamsz, zakonserwowała się skóra starczej twarzy. Wszystko wytarło się, wszystko wypłowiało, ale ani trochę nie zmniejszyła się trwałość tej istoty, na widok której można było zadać sobie pytanie: ileż stuleci istnieje pod deszczem i słońcem włoskiej pogody ten człowiek?

Hrabia Cosio obejrzał swoich gości od stóp do głów, powoli ogarniając spojrzeniem to jednego, to drugiego. Poczem głośno roześmiał się. Pohuki jego ochrypłego śmiechu wypełniały całą głębokość i wysokość wielkiego salonu.

— Tak, o tym szczeniaku mówił mi znakomity Menegetti. Ale przecież jest on niższego wzrostu, niż jakiekolwiek najmniejsze skrzypce Amatiego. Rozłożył ręce. Dziecinne „Ponchon“, w zeszłym tygodniu sprzedałem zwariowanemu Anglikowi. Były to jedyne znane mi skrzypce Stradivariusa. Zrobione dla dziecka. Na czym więc będzie grał pański syn, signoro Paganini?

— Na tym, na czym rozkaże pan hrabia, — odparł chłopiec ,nie spojrzawszy nawet na ojca.

Cosio podszedł do ściany i pociągnął za sznurek. Poruszyła się wielka malinowa kotara i w promieniach słońca w oszklonych szafach zaskrzyły się dziesiątki żółtych, zielonkawych, złocistych, czekoladowych i ciemnowiśniowych skrzypiec ze smyczkami, prostymi i surowymi, wytwornymi i ozdobnymi, inkrustowanymi perłami i masą perłową. Wisiały tu grube pękate wiolonczele, potężne, pełnokrwiste altówki, skrzypce z krótkimi i długimi smyczkami, z gryfami, które mistrze skrzypcowi ozdobili fantastycznymi grupami, główkami i lwimi paszczami. I wreszcie Paganini ujrzał dziwaczne, brzydkie skrzypce, krótkie i grube, z głową buldoga na gryfie. Mały Paganini nie mógł oderwać oczu od szaf stojących wzdłuż całej wielkiej ściany salonu, jak gobelin wysokości półtora człowieka. A stary Cosio oczami fanatyka i zakochanego patrzał na fantastyczny zbiór skrzypiec, patrzał skroś złociste potoki promieni słonecznych, oświetlających dymne i ogniste iskry drobnego pyłu pokojowego, na ulubioną swoją kolekcję:

Cosio podszedł do małego Paganiniego. Odgarnął mu włosy z czoła, spojrzał uważnie na brwi, na czoło, na oczy i rzekł:

— Mam dziewięćdziesiąt siedem lat. Osiemdziesiąt lat poświęciłem zbieraniu tych skarbów. Według moich obliczeń i według przepowiedni moich astrologów pozostały mi jeszcze dwa lata życia. Dom, w którym znajdujesz się, zawiera najpiękniejszą na świecie kolekcję instrumentów muzycznych. Dzięki nim istnieje ziemia, dzięki nim Stwórca Wszechświata tchnął w człowieka obłędną pasję przekształcenia nędznego życia w piękne dźwięki.

Wypowiedziawszy patetycznie te zdania, starzec podszedł bardzo blisko do jednej szafy. Wyjął pęk najdrobniejszych kluczyków i zaczął otwierać szereg zameczków, ozdobionych różnymi postaciami. Gdy włożył kluczyk w ostatni zamek, podwójne drzwiczki z cichym śpiewem otworzyły się same, jesionowa rama poruszyła się na zawiasach i starzec zdjął ze ściany stare złociste skrzypce. Ostrożnie trzymając je lewą ręką za gryf i nie ścierając z nich kurzu, wręczył skrzypce chłopcu, poczem tak samo ostrożnie, prawie że uroczyście, dał mu smyczek. Mały skrzypek zagrał.

(Przełożył Włodzimierz Słobodnik)

„GRUBE RYBY“ BAŁUCKIEGO



Ludwik Solski (pośrodku) w roli Ciaputkiewicza, w roli Wistowskiego—Fr. Dominiak; Pągałowicza—Wł. Godik

CZARNE DIAMENTY
W „PODZIEMNYM MIEŚCIE" KOPALNI

W kopalni niebezpieczeństwo czyha stale na człowieka". Oto słowa, jakie wypowiedział do mnie, przed zjazdem w dół, nadsztygar kopalni węgla „Św. Barbary", kiedy wzdragałem się wciągać na siebie „combinaison", a hełm skórzany wraz z okutą laską starałem się ukryć wstydliwie za plecami. Wobec takiego „dictum", noszącego wszelkie cechy rozkazu, stałem się potulny jak baranek i wkrótce zmieniony nie do poznania, stanąłem wraz ze swym opiekunem przed szybem prowadzącym do kopalni. Nim winda nadeszła uciekliśmy sobie z nadsztygarem maleńką rozmówkę, obrazującą dokładnie pracę, na niektórych odcinkach życia kopalni.

Załoga kopalni „Św Barbary" liczy obecnie 150 ludzi, z czego połowę stanowią Niemcy, jeńcy wojenni. Naturalnie wydajność dzienna tego rodzaju pracownika nie może się równać z wynikami pracy wykwalifikowanego górnika. Dochodzi ona zaledwie do 25 proc. normalnej indywidualnej normy. Naogół produkcja kopalni w porównaniu z 1939 rokiem, jest nie o wiele niższa. Przy przedwojennych 5 tysiącach ton. wynosi ona w tej chwili 3.800 ton węgla dziennie. Zważywszy na średni materiał ludzki, oraz zmniejszoną pod względem ilościowym załogę — można bez przesady powiedzieć, iż wyniki osiągane na kopalni „Św. Barbary" są wcale dobre. Przeciętnie zarobki górnika wynoszą około 8 tysięcy złotych miesięcznie. Niezależnie od tego na terenie kopalni prowadzi się skromną stołówkę, w której o każdej porze dnia otrzymać można szklankę herbaty z dodatkiem chleba.

Przed zjazdem do kopalni otrzymaliśmy lampki karbidowe, bez których nikomu nie wolno pokazać się w podziemiach. Zgrzytnęły łańcuchy windy i szybko poczęliśmy opadać w dół. Lekki szum w uszach wywołany zmianą ciśnienia minął po klikunastu sekundach, kiedy winda zatrzymała się na miejscu. Znaleźliśmy się na pierwszym poziomie 188,7 m. pod ziemią. Obszernym i obmurowanym ze wszystkich stron chodnikiem idziemy na towarową i jednocześnie osobową stację kolejki elektrycznej. (Koni obecnie kopalnie nie utrzymują).

W perspektywie mrocznego korytarza widać szereg lampek kolorowych. Na stacji ruch mniejszy, bowiem węgiel, wydarty w dniu dzisiejszym ziemi, został już odstawiony na powierzchnię kopalni. Podchodzi ku nam elektryczna lokomotywa z doczepionymi do niej dwoma wagonikami. Ruszamy naprzód na oddziały (razem jest ich 9) i t.zw. „filar" to jest punkt niezabezpieczony żadnymi podporami ani stemplami, na którym wyłupuje się węgiel. Pół godziny trwająca podróż kończy się wreszcie. Bocznym korytarzem dostajemy się na filar. Wyją ponuro olbrzymie rury, doprowadzające do podziemi kopalni strumień świeżego powietrza. Na głębokości około 30 m. do jakiej stopniowo zeszliśmy odczuwa się już brak tlenu. Płuca pracują cokolwiek szybciej. Uwagę moją absorbują ludzie i praca. Czarni jak węgiel górnicy podchodzą do nas. Ściskamy sobie ręce. Obok pracują jeńcy niemieccy. Wykonują prace drugorzędne. Jakiś młody Niemiec w mundurze „wehrmachtu" podchodzi do sztygara.

— Co ci jest?

—Noga.

Istotnie widać sporą ranę. Spadająca z wózka bryła węgla obdarła mu skórę. Trochę jodyny, bandaż i opatrunek założony. Czy ten sam Niemiec z pracującym w kopalni węgla Polakiem postąpiłby w podobny sposób? O tym opowiadał mi dużo nadsztygar. Szkoda czasu na powtarzanie. Niemcy w stosunku do Polaków uznawali tylko jedną metodę: niszczyć. Rozmawiając z jakimś młodym górnikiem wysunąłem nieco głowę poza podbudówkę. Nagle spory kawał węgla spadł ze stropu trafiając w mą głowę. Szczęście, że ją chronił hełm. Inaczej... wyjechałbym z kopalni na noszach.

— „To „Barbarka" was uprzedza — śmieje się górnik. „My słyszym jak trzyszczy, my się znumy, to nos nie spotko".

Żyły węgla posiadają najrozmaitszą grubość i biegną niekiedy krętą drogą. Pod wpływem przemian geologicznych kopiący węgiel górnik spotyka na swej drodze „uskoki". Są to nagłe załamania pokładów węglowych idące w górę lub dół. Na podstawie ścisłych obliczeń matematycznych, inżynierowie i sztygarzy ustalają z całą dokładnością kierunek uskoku. Wielkim niebezpieczeństwem dla górnika jest tlenek węgla, działający zabójczo na organizm człowieka. Gasnąca lampka sygnalizuje jego obecność w powietrzu. Niemniej groźnym wrogiem człowieka pracującego w kopalni jest gaz świetlny, powodujący natychmiastowy wybuch przy zetknięciu się z płomieniem lampki. W jednym i drugim wypadku, stroną kontrolującą obecność gazów w miejscu pracy jest specjalista — sztygar ,który odpowiada w równym stopniu za zniszczenia wynikłe na terenie kopalni jak i za życie ludzi w niej pracujących.



Początkowa faza wyłupywania „filaru" w pozycji leżącej.

Po zwiedzeniu kilku oddziałów siadamy na chwilę na pniach kopalniaków, to jest słupów przeznaczonych do stemplowania stropów korytarzy, z których węgiel został już wybrany. Tuż obok widać boczny, krótki chodnik. Jest to „ślepy filar" obrazujący dokładnie „uskok". Widniejącą w głębi „filaru" warstwę piaskowca należy przebić, by się dostać do pokładu węgla położonego o kilka lub kilkanaście metrów poniżej dotychczasowego poziomu.

Wędrówka nasza po podziemnym mieście— kopalni trwała sześć pełnych godzin. Kiedy wydostałem się na powierzchnię ziemi byłem czarny tak jak pracujący tam górnicy. Przygotowane wanny czekały już na nas, bowiem każdy kto zejdzie choćby na krótko do kopalni węgla, musi w swej drodze powrotnej przejść przez kąpiel lub prysznic.



„Chodnik" w kopalni

* * *

Ciężka jest praca górnika tymbardziej, że odbywa się ona na głębokości kilkuset metrów pod ziemią w stałym niebezpieczeństwie, stałej trwodze przed kalectwem lub śmiercią. Nie ma dnia, by teren kopalni nie był widownią jakiegoś wypadku kończącego się mniej lub więcej poważnie.

Wartość „czarnego diamentu" nie należy przeliczać na pieniądze. Często okupiony jest on krwią i życiem ludzi pracujących przy jego wydobywaniu — ludzi, których zwykliśmy określać mianem górników.

Wiesław Andrzej Sieński

PEŁNA SATYSFAKCJA

Ruch spółdzielczy jest atakowany nie tylko u nas. Był on także atakowany przez różne koła w kolebce jego powstania — w Anglii. Chcąc znaleźć uzasadnienie dla swej działalności w opinii szerszej, nie tylko spółdzielców, zwrócili się angielscy spółdzielcy do szeregu naukowców, wykładających zagadnienia społeczno-gospodarcze, z prośbą o analizę i wyrażenie swego poglądu o roli ruchu.

Wynikiem rozważań jest książka p.t. „Ruch spółdzielczy w Wielkiej Brytanii". Autorzy oceniają spółdzielczość pozytywnie, co nie przeszkadza im zwrócić uwagę na wady oraz wskazać na drogi i środki naprawy. I tu właśnie znajdujemy pełną satysfakcję. Bo oto stawiany nam zawsze za wzór ruch angielski ma wady, których unika nasza teraźniejszość polska (sic). Obiektywni a naukowi obserwatorzy, autorzy rozprawy, zalecają ruchowi angielskiemu strukturę i metody pracy właściwe naszej powojennej spółdzielczości.

I tak „jedną ze słabych stron — (angielskiego ruchu) ma być jego nieumiejętność rozwinięcia jasno zarysowanej teorii, którą możnaby przeciwstawić względnie uzupełnić nią inne przyjęte zasady ekonomicznej i społecznej organizacji... Nie stworzył on swej własnej autorytatywnej literatury. Nie wydał żadnych wielkich myślicieli lub nauczycieli... Jest on zatem niemową, . który gdy próbuje uzasadnić swe własne istnienie i cele ucieka się do przestarzałej utopijnej frazeologii, albo gubi się w kolumnach statystyki... Gdyby więc ruch miał jasno wytknięte zasady i cele i gdyby był **planowy i kierowany** we właściwy sposób, to zastąpiłby w końcu system (kapitalistyczny)." Jednolite, centralne i wyposażone w dostateczną władzę w stosunku do spółdzielni — kierownictwo Central, oto jedno z zaleceń, niespełnionych całkowicie (jeśli idzie o autorytatywność) nawet przez polską spółdzielczość. „Potrzeba: jasnego ujęcia celów... poczucia jedności i celów w skali krajowej, a nawet międzynarodowej, jako przeciwstawienie dążeń o charakterze lokalnym względnie grupowym", jako że „propaganda idei dla przyszłości ruchu ważniejsza jest niż propaganda tworów". „Należy także jasno wytyczyć teren działalności przedsiębiorstw prywatnych, miejskich, państwowych i spółdzielczych, gdyż spółdzielczość może być uważana za pośrednią drogę pomiędzy „laisser faire" i liberalizmem a sztywnym planowaniem na podstawie przymusowej".

Spółdzielczość polska nie jest niemową, może się poszczycić całą plejadą myślicieli i nauczycieli do polityków włącznie i bogatym dorobkiem publicystycznym od teoretycznych rozważań Abramowskiego do konkretnego programu gospodarczego M. Rapackiego. Zerwała ona od dawna, a szczególnie po 1944 r., z wszelką frazeologią i przystąpiła do realizowania uprzednio sprecyzowanych konkretnych zasad i celów działalności. Zerwała z dotychczasowym rozbiciem terytorialnym i grupowym, przystępując do działalności pod jednolitym i centralnym kierownictwem. Działalność jej teraz to nie tylko obroty, ich wielkość i kierunek, lecz rozwiązywanie podstawowych problemów, kształtujących naszą rzeczywistość, jak organizacja gospodarki, struktura przemysłu, przebudowa wsi, organizacja rynku i t. p.

Zerwawszy nareszcie z ewolucjonizmem, jako owocem dominującego dotychczas nastawienia liberalistycznego — „laisser faire", spółdzielczość weszła na drogę działalności planowej, włączając się w sposób trafny i celowy do systemu polskiej gospodarki mieszanej. Spółdzielczość polska wyraźnie rozgraniczyła swą działalność od prywatnej z jednej strony, a publicznej z drugiej i jasno sprecyzowała swe umiejscowienie pomiędzy tymi dwiema formami władania i gospodarki co znalazło wyraz zarówno w jej własnej polityce, jak też w polityce Państwa.

p.k.

Po rozum do głowy

Bywa tak, że gdy człowiek pogrąży się we śnie,
Członki ciała nie mogą zasnąć jednocześnie,
Człowiek śpi, a tu naraz odezwą się uda:
— „Całą noc tak przeleżeć, toż po prostu nuda,
„Zwłaszcza, że my jesteśmy pełne animuszu..."
Na to łokieć odpowie: „Puszczam mimo uszu
„Waszą głupią uwagę. Ona mnie nie wzruszy".
— „Mimo uszu? Zuchwalec!" — zawołały uszy,
„Łokieć zawsze obmawia nas poza plecami!"
Tu plecy się odezwą: „Mówiąc między nami
„Uszy się poufalą. Gdzie uszy, gdzie plecy?"
Na to szyja zawoła: "Już nie róbcie hecy,
„Nogo, przemów do pleców, zrób to, moja droga!".
— „To mi jest nie na rękę" — powiedziała noga.
Ręka się zaperzyła: „Ach, ty nogo bosa,
„Znowu ze mną zaczynasz! Pilnuj swego nosa!"
Nos kichnął, aż się echo rozległo w sypialce:
— „O mnie mowa? Ja na to patrzę się przez palce".
Tu palce oburzone zawołały chórem:
—„Bezczelny! Patrzy przez nas! Gbur jest zawsze gburem".
Kolano, nieruchomo leżąc pod tułowiem
Rzekło: „Język mnie świerzbi, ale nic nie powiem".
Język co drzemał w ustach, oburzył się, mlasnął,
I rzekł do podniebienia: „Takem smacznie zasnął,
„Teraz ja ich przegadam, skoro już nie drzemię".
— „Język — zgrzytnęły zęby — nie jest bity w ciemię"!
Ciemię się rozgniewało: „Skończcie te rozmowy,
„Czas już pójść, słowo daję, po rozum do głowy".
— „Pójść po rozum do głowy? — rzekły członki ciała —
„Owszem, chętnie". I poszły. Ale głowa spała.

JAN BRZECHWA

Od i do Redakcji

P. Z. Chełmicka z Częstochowy. Prosimy o dobrą korespondencję ze zdjęciami.

P. Wacław Schulz w Gdyni, ul. 3 Maja 29. Zdjęcia otrzymaliśmy. List wysyłamy.

P. Zamiński z Warszawy. Na razie nie skorzystamy.

P. Stanisław Pagaczewski w Krakowie, ul. Grottgera 9 pisze: „Z przyjemnością wziąłem do ręki pierwszy numer „Tygodnia". Uważam, że już najwyższy czas, by tego rodzaju pismo wychodziło. Dawał się dotychczas odczuć brak popularnego a niezależnego i na dobrym poziomie pisma". Dziękujemy za słowa uznania. Artykuł o Rożnowie, po dokonaniu pewnych skrótów (jest za długi), wydrukujemy.

P. H. Mysłowska z Bydgoszczy. List Pani przekazaliśmy p. kpt. Burzyńskiemu.

Dr. Artur Bardach w Krakowie, Hotel Polonia: Pismo Pana przekazaliśmy Spółdzielni wydawniczej „Tydzień", która udzieli Panu listownej odpowiedzi.

P. J. C. z Płocka. Uwagi Pana są słuszne, ale możliwości techniczne mamy jeszcze słabe. Prosimy o uwagi po dalszych numerach.

P. Andrzej z Częstochowy. Z nadesłanego materiału nie skorzystamy.

P. Kl. Krzem... z Wrocławia. Do tematu poruszonego przez Pana przy okazji powrócimy.

Dr. St. W. Berezowski w Krakowie, ul. Karmelicka 50. Prosimy o nadesłanie proponowanych. W zasadzie zgadzamy się na Pańską propozycję. Musimy jednak zapoznać się z materiałem. List wysyłamy.

Skleroza

SŁUCHANIE RADIA ZA OKUPACJI

W jednym z pism warszawskich pewien dziennikarz ogłasza swoje wspomnienia z czasów okupacji w Warszawie. Noszą one tytuł „Tak było"... Czytamy w nich taki ustęp:

Od pewnego czasu Zygmunt słuchał radia u dozorcy na Wilczej. Choć Niemcy wydali zarządzenie, by zdać aparaty, dozorca nie oddał. Cała kamienica schodziła się doń wieczorami, by słuchać komunikatów..."

Musimy uzupełnić powyższą informację o słuchaniu radia za okupacji. Wobec tego, że „cała kamienica" nie mogła się zmieścić w małej stróżówce, poczciwy dozorca wynosił wieczorami radioodbiornik na podwórze, by się wszyscy swobodnie zbierali dokoła niego. Nawet przechodzący ulicą Niemcy, zwabieni gwarem na podwórzu, zaglądali tu nieraz, by posłuchać polskich komunikatów ze świata.

●

Dr. med. B. W. z Tomaszowa Maz. nadsyła nam poniższy wiersz J. B. Ożoga p. t. „Jak cię wyszepcę", ogłoszony w „Rzeczypospolitej" (Nr 199/695):

Jak cię wyszepcę ciszej, Ojczyzno?
Do domu wieczór wabią świerszcze,
W górze obłoki — krwawa bielizna,
A ziemią — zdrada w lisiej sierści.
Aż w czarcim jarze za siódmym mostem
W jaskółczym zielu krew zastygła:
Wbił czarne palce na kolce ostu
I czoło młode oblepił igłą.

Doktór uważa, że jest to nietylko skleroza, ale „zanik lewego zwoju mózgowego".

SZYBKA DECYZJA



Pewien skrupulatny i skąpy sklerotyk postanowił zważyć się na ulicznej wadze. Po zważeniu, wręczył dwuzłotowy banknot i zażądał złotówkę reszty.

Gdy się dowiedział, że z powodu braku drobnych nie może otrzymać reszty, po chwili namysłu zadecydował.

— To proszę mnie zważyć jeszcze raz.



Anegdoty historyczne

GRZYBY ALEKSANDRA DUMASA

Aleksander Dumas, podróżujący po Niemczech, był w ciągłych kłopotach, nie umiał bowiem ani słowa po niemiecku.

Pewnego razu, przejeżdżając przez małe miasteczko, zatrzymał się w gospodzie, aby zjeść obiad. Miał chęć na grzyby, wszelako trudność polegała na tym, że ani oberżysta, ani nikt z obecnych nie rozumiał po francusku. Znakomity pisarz poszedł po rozum do głowy i, wydarłszy ze swego notatnika kartkę, narysował na niej grzyb, który pokazał oberżyście. Ten kiwnął głową na znak, że rozumie i, pozostawiając pisarza ostrzącego sobie apetyt na ulubioną potrawę, powrócił po chwili z parasolem w ręku.

MOTORYZACJA W ANGLII

PRZED STU LATY

(British Photo)



Brytyjski przemysł motorowy zaczął się rozwijać dopiero w roku 1898 dzięki wielkim przedsięwzięciom brytyjskich wynalazców i producentów jak Rolls Royce, Sunbeam, Lanchester i Napier. Największe fazy rozwojowe przemysłu motorowego w Anglii to okres od 1903 — 1914 i od 1922 — 1938 r

Słynny parowy pojazd Gurney'a, widziany na zdjęciu został zbudowany w 1830 r. Był on pionierem pojazdów poruszanych mechanicznie. Miał 20 stóp (4 metry) długości i ważył około 2 ton. Poruszał się z szybkością 8 — 10 mil angielskich (12 — 16 km) na godzinę. Zgodnie z obowiązującymi przepisami musiał być poprzedzany przez jeźdźca konnego powiewającego czerwoną chorągiewką, aby ostrzegać ludność przed niebezpieczeństwem, grożącym ze strony pojazdu zbliżającego się „z dużą szybkością" (!)

SANACYJNE CZASY

Nakładem „Czytelnika" ukazał się zbiór satyr i fraszek znanego humorysty „Szpilek" Stanisława Jerzego Leca p. t. „Spacer cynika". Zbiór zawiera utwory, pisane i ogłaszane, jak zaznacza autor, w latach od r. 1936 do wojennego września r. 1939. Oto niektóre z tych fraszek:

Lakoniczne

Obraz naszego świata dość określają dwuwiersze.
Motywy o uwięzieniu też nie bywają szersze.

(lipiec 1936)

Ideologia

Żeby mieć z masłem pewny chleb,
Za mało, by rósł z karku łeb.
Z chorągwią krocz przez ziemski dół,
Abyś kierunek wiatru czuł.

(maj 1938)

O kiełbasie wyborczej

Mądrość ludowa nigdy nie wymiera.
„Nie dla psa kiełbasa". Bo pies nie wybiera.

(listopad 1938)

O demagogach

Co za bóg złośliwy im oblicza kuł,
Że dał im złote usta do miedzianych czół.

(czerwiec 1936)

Cenzor

Wiesz, dziecię, o czym cenzor śni,
I od tych snów jest czasem chory?
Chciałby podsłuchać rytm tych dni,
Dźwięk rymu, echo metafory.

(luty 1938)

O prasie

Ach, co za czas, czas przeklęty!
Zazdroszczę dziś analfabecie,
Że nic nie widzi on w gazecie,
Prócz śledzia, gdy w nią owinięty.

(marzec 1938)

Przepis kucharski

Niech sobie ten przepis przeczyta elita,
Że każda śmietanka na deser jest bita.

(lipiec 1936)



Na ekranach Paryskich

Narzekamy na brak dobrych filmów w Polsce. Ale zdaje się, że i gdzie indziej w Europie twórczość filmowa nie osiąga jeszcze tego poziomu, jaki miała przed wojną. Oto para nowych kochanków filmowych: panna Renée Saint Cyr i p. Henri Vital, która emocjonuje ulicę paryską w filmie „Dziwne przeznaczenie", w realizacji p. Louis Cluny'ego. Jednakże przez krytykę film został zdecydowanie potępiony. „Jest to film — pisze znany krytyk paryski p. Luc Estang — na którym, zgodnie z zaleceniem Beaumarchais'go, trzeba się śmiać tylko dlatego, żeby nie płakać nad głupotą".

●

Sławny przed wojną z filmu „La grande illusion" (u nas w Polsce „Towarzysze broni") Erich von Stroheim ukazał się w swym pierwszym filmie powojennym p. t. „Tak się nie umiera", nakręconym w Hollywood. Prasa paryska pisze: „Jesteśmy szczęśliwi, że widzimy znowu czaszkę Strohelma i jego szramy na twarzy, że słyszymy znowu jego głos metaliczny i podziwiamy tę jego romantyczno-wojskową pozę, którą tak pięknie umie przybierać. Nie rozumiemy natomiast, jaki miał cel w nakręcaniu podobnego filmu. Bladość roli, w której występuje nie powinna była znęcić tak potężnej osobowości aktorskiej".

●

Prasa paryska w oryginalny sposób anonsuje nowe filmy. Oto notatka z „Une Semaine dans le Monde" (Tydzień w świecie") z dn. 13 lipca r. b.: „Przypominamy, że warto postać w ogonku pół godziny, żeby zobaczyć „Idiotę", i 25 minut dla „Człowieka w czerwonym kapeluszu". Natomiast nie należy tego czynić dla „Zabaw kobiecych" i „Dziwnego przeznaczenia".

●

Niedługo mają być gotowe dwa nowe filmy francuskie, na które się pokłada wiele nadziei. Gilles Grangier realizuje „Spotkanie w Paryżu" („Rendez-Vous à Paris") z Claude Dauphin'em i Annie Ducaux w rolach głównych; Jacques Houssin pracuje nad filmem „Rozwińcie żagle" („Larguez les voiles"), w którym wystąpią w rolach głównych: Albert Préjean i Lysiane Rey.

REBUS

Ułożył „Orzech"



Termin nadsyłania rozwiązań do dnia 1-go września b. r.

Za trafne rozwiązanie zostaną rozlosowane nagrody w postaci 3 książek Struph-Wojtkiewicza p.t. „Sikorski i jego żołnierze".

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień" ● Redaguje: zespół redakcyjny ● Redaktor naczelny przyjmuje w dni powszednie od 13 — 14-ej
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, ul. Pomorska 37 m. 1, tel. 14-906 ● Redakcja rękopisów nie zwraca ● Prenumerata miesięczna 30.— zł.
Konto P. K. O. Łódź VII Nr 4321 ● Drukarnia: Zakłady Graficzne „Społem" Łódź, ul. Andrzeja 63 ● D. 01571